



POZNALI SIĘ

i zaprzyjaźnili na Kongresie Studentów w Warszawie. Łączy ich wspólne pragnienie pokoju. Ono kieruje myślami i pracą wszystkich młodych, którzy w dniach 21 – 28 marca obchodzą Światowy Tydzień Młodzieży

(Fot. „Sztet” — W. Prażuch)

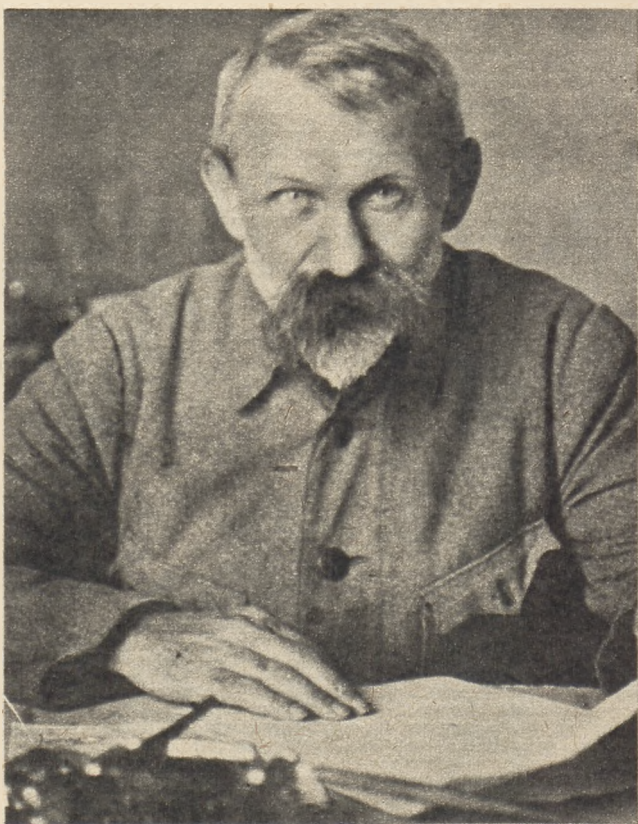
W 30 ROCZNICĘ ZGONU J. MARCHLEWSKIEGO

„Nade wszystko umiłowałem Wisłę...” — napisał kiedyś. Pamięć o rzece, nad którą się urodził, towarzyszyła mu w Bawarii i Holandii, w Szwajcarii i Chinach, w Anglii i Rosji. W niełatwym życiu rewolucjonisty, który większą część swego życia spędził na emigracji, umiłowanie nadwiślańskich łąg i tatrzańskich dolin jest dla Marchlewskiego źródłem hartu i siły.

Rewolucyjną naukę zdobywał wszędzie: w fabrykach Poznańskiego w Łodzi i w aulach Uniwersytetu Zurychskiego, gdzie się doktoryzował; w murach X Pawilonu i więzieniu fortecy modlińskiej; we wspólnej walce z robotnikami Włocławka, Warszawy, Łodzi i w kontaktach z Engelsem i Leninem. Był jednym z przywódców SDKPiL, wychowawcą polskiego proletariatu, wybitnym działaczem ruchu robotniczego w Niemczech i Rosji. „Jako jeden z pierwszych czołowych rewolucjonistów proletariackich i organizatorów polskiej klasy robotniczej, Julian Marchlewski był zawsze i nieugięcie wierny międzynarodowym ideom proletariatu” — mówił o nim Bolesław Bierut.

Marchlewski zmarł w Nervi, we Włoszech, 22 marca 1925 roku.

Przed pięćmi laty prochy jego spoczęły nad Wisłą, w Warszawie. W ojczyźnie takiej, o jaką walczył.



BILANS TARGÓW LIPSKICH



fol. Zentralbild

10 tysięcy wystawców z 36 krajów wzięło udział w tegorocznych Wiosennych Targach Lipskich, zorganizowanych — jak już wynika z powyższych liczb — na bardzo szeroką skalę. Bilans Targów jest poważny: zwiedziło je ponad 500 tysięcy osób, a obroty NRD wyniosły 1.382 miliony rubli (umów eksportowych zawarto na sumę 965 milionów rubli). Dużym powodzeniem u zwiedzających cieszyło się również stoisko polskie. „Targi stały się symbolem możliwości pokojowego współistnienia krajów o różnych systemach społecznych” — stwierdzał komunikat ministerstwa handlu zagranicznego NRD. Wielkie znaczenie międzynarodowe tej imprezy podkreślone zostało przez wizyty licznych delegacji rządowych, w szczególności radzieckiej pod kierownictwem pierwszego zastępcy prezesa Rady Ministrów ZSRR — Mikojana, który zwiedzał pawilony w towarzystwie wicepremiera Ulbrichta.

LOS MIESZKAŃCÓW TACZEN



Burżuazyjne pismo włoskie „Epoca” zamieściło niedawno fotoreportaż z ewakuacji wysp Taczen, wyzwolonych przez oddziały Chińskiej Armii Ludowej. Zdjęcie powyższe pochodzi właśnie z tego fotoreportażu; krótki komentarz, w którym pismo wylewa krokodyły nad losem mieszkańców Taczen, przemilcza istotny fakt, że ludność tamtejsza ewakuowana została przez czangkajszekowców przymusowo i to w tak krótkim terminie, iż zdołała zabrać jedynie niewielki, ręczny bagaż.

SWIAT

NASZA KRONIKA

MIESZKAM tu już piąty miesiąc. Jest to jeden z przedwojennych domów w Alei Niepodległości, odremontowanych i oddanych do użytku — najpierw jakiemuś urzędowi, a potem z kolei prywatnym lokatorom. Jedne okna wychodzą na ulicę, drugie na podwórze. Pamiętam jeszcze dobrze czas, gdy Aleja Niepodległości nazywała się Włodarzewska. Stały tu w błocie i w ciemnościach dwa domy. Było to chyba dwadzieścia pięć lat temu. Dawne i niedawne lata!

Potem przyszła szybka, kapitalistyczna zabudowa, i powstała nieduża elegancka dzielnica. Dziś rano i wieczorem albo w dzień przy niedzieli Aleja Niepodległości roi się ludźmi. Trudno mi powiedzieć, by życie społeczne tu już kwitło. Brak tej wielkiej dziś dzielnicy miejsc życia społecznego: teatru, większej ilości kin, kawiarni, restauracji, domu kultury itp.

Patrząc na ulicę, przypominam sobie dawną Włodarzewską i dawną Aleję Niepodległości i widzę zmiany zachodzące w życiu. To nowa, inna Aleja Niepodległości przede mną, ulica nowego, ale dopiero kształtującego się życia. Stary dialektyk Heraklit powiedział, iż nie można przyjąć dwa razy nad tę samą rzekę,

bo za każdym razem będzie to inna rzeka. Można by dziś powiedzieć, że nie można dwa razy spojrzeć na tę samą ulicę, bo za każdym razem będzie to już inna ulica.

Ulicą płynie nasze życie. Oto studenci z pobliskiego domu akademickiego idą szybko pojedynczo, parami lub w większych grupach. Idą na wykłady do jednej z dwóch pobliskich wielkich uczelni. Oto gospodynie podążają z zakupami do domu. Oto znajomy pisarz — sąsiad z pobliskiej kamienicy. Oto kilku oficerów. W reszcie ludzi trudno mi odróżnić urzędników od robotników. Ulica zmienia się. Oblicze jej zmieniają pory dnia i pory roku. Jej oblicze trwale zmienia pora historii — epoka, w której żyjemy.

A JEŚLI spojrzeć przez drugie okna, od podwórza? Tu chyba nic się nie zmieni i nic zmiany nie wymaga. Tutaj — na dość rozległej przestrzeni spotykają się okna wysokich domów. Na święta w każdym prawie zobaczysz choinkę. Potem gdzieś wisią zajace. Tu wietrzy się pościel. Na naszym podwórzu śmietnik, jakiś budyneczek ustronny i to chyba wszystko. Odwracam się niechętnie plecami od fragmentu urbanistycznego zięjącego tradycyjną nudą.

NA NOWE ZIEMIE



fol. CAP

Z miast ZSRR w dalszym ciągu wyjeżdżają grupy młodzieży w stepowe rejony Kazachstanu i Syberii w celu zagospodarowania ziem dotąd nie uprawianych. Oto ludność stolicy radzieckiej żegna grupę wyjeżdżających.

MISTRZOWIE ŚWIATA

Radiosłuchacze, którzy pamiętają transmisję meczu hokejowego Kanada — ZSRR, przypominają sobie zapewne, że po wręczeniu pucharów, gdy kapitanowie obu drużyn — Bobrow i Grant Warwick — ścisnęli sobie dłonie, tłum



Tak było przez kilka miesięcy. Nie wiem, w jakiej chwili udało mi się zrozumieć to podwórze. Zrozumiałem niepokój, który wcale nie był znudzeniem. To niesłuszne, że to moje podwórze pozostanie — nie- tknięte i niezmiennie.

To podwórze mojego domu jest małe. Nie ma na nim śladu żadnego kłombu czy większej ilości zieleni. Jego najgłośniejszym akcentem są mury, oddzielające brutalnie, zdecydowanie ten skrawek ziemi od innych podwórek. Jednym słowem, o naszym podwórku można powiedzieć tyle tylko, co powiedział Dumas, gdy zwiedzał dumę Wiktora Hugo, jego małego ogródka:

— No tak, duży to ten pański ogródek nie jest, ale za to wysoki. Nasze podwórze też nie jest duże, jest tylko wysokie.

ALE czy rzeczywiście podwórze mojego domu nie mogłoby być duże? Czy na środku nie mogłoby mieścić piaskownicy, a może i małego basenu dla dzieci? Czy nie mogłoby tu rosnąć kilka rozłożystych drzew? Czy nie mogłoby stać kilka ławek wśród kłombów? Ale jak to zrobić na tych kilkudziesięciu metrach kwadratowych? Taki zamiar rozbija się o mury ściśle ograniczające nasze podwórko.

Lecz cóż za tymi murami. Inne podwórza. Podwórza kilku domów, domów z Alei Niepodległości, Rakowieckiej i Asfaltowej. A gdyby obalić te mury? Gdyby zamiast tych podwórek zrobić dla tych wszystkich domów jeden duży wewnętrzny plac,

ozdobiony tym, co sobie wymarzyłem?

Sądzę, że ten kompleks domów — Aleja Niepodległości — Rakowiecka — Asfaltowa — niejedną taką w Warszawie i w Polsce. Nasze domy mogłyby mieć piękne sąsiedzkie place wewnętrzne. Trzeba tylko jednego: obalenia tych murów, zagród i parkanów, które postawił kapitalizm, które stanowią anachroniczną kontynuację kapitalistycznych praw zysku i sobkostwa, sprzecznych z zasadami naszego życia. Kapitalizm padł, a murki stoją oddzielając bez sensu od siebie jeden dom od drugiego, gdy chciałoby się je połączyć w jedno ogniwo społecznego życia.

NIE wiem, czy moje myśli i marzenia mają jakieś uzasadnienie, czy są wykonalne. Po prostu chciałem powiedzieć, iż w życiu naszym wiele jeszcze takich sztucznych przegród, murków, praw pozostałych z przeszłości, uchodzących za coś „naturalnego”, a co po prostu stanowi produkt ustroju, którego już nie ma. W każdym z nas wiele jeszcze takich pozostałości tego, co minęło, wiele dziwnych rzeczy, absolutnie nie dostosowanych do naszych czasów. Rzecz w tym, by nie czekać, aż mury podwórkowe skruszeją pod wpływem samego działania czasu, ale ażeby je obalać, jeśli to możliwe i celowe.

W tym celu trzeba robić jedną rzecz niesłychanie trudną: nie tylko raz, ale zawsze patrzeć na życie i na wszystkie jego objawy — myśląc.

JAN SZELAĞ

PRZECIWKO WOJNIE ATOMOWEJ, PRZECIW UKŁADOM PARYSKIM



Haga, Amsterdam i wiele innych miast Holandii były świadkami potężnych manifestacji ludności przeciwko układom paryskim, a w szczególności przeciwko przygotowaniu obozu imperialistycznego do użycia broni atomowej. Ulicami Hagi przeciągnął wielokilometrowy pochód protestacyjny. Jedno z największych zebranych odbyło się w gmachu amsterdamskiej giełdy (na zdjęciu u góry). Wiece i manifestacje przeciwko układom paryskim odbyły się również w Polsce. 10 marca, który ogłoszony został przez Światową Federację Związków Zawodowych dniem walki przeciwko układom paryskim i wskrzeszaniu militarystyki niemieckiej, w wielu zakładach pracy padły słowa potępienia pod adresem imperialistycznych agresorów. Zebrani wysłali listy do swych niemieckich towarzyszy, wzywając ich do wzmożenia walki przeciwko remilitaryzacji Niemiec zachodnich. List taki wysłał m. in. pracownicy Domu Słowa Polskiego w Warszawie (na zdjęciu po lewej). *fol. „De Waarheid” i CAF*

KRÓLOWA ELŻBIETA BELGIJSKA PRZYBYŁA NA KONKURS CHOPINOWSKI

Do Warszawy przybyła na zaproszenie Komitetu V Międzynarodowego Konkursu im. Fr. Chopina, jako honorowy gość Komitetu, Królowa Elżbieta Belgijska. Królowej towarzyszą: dama honorowa wicehr. J. Davignon, wielki mistrz domu hr. A. de Meeus d'Argenteuil, sekretarz Ch. Pigault de Beaupre oraz prof. P. Collaer, kompozytor. Na zdjęciu obok: na lotnisku wita Królową — Przewodniczący Komitetu V Międzynarodowego Konkursu im. Chopina — Jarosław Iwaszkiewicz. Na zdjęciu u dołu: Królowa ogląda odlew ręki Chopina w muzeum w Żelazowej Woli.

Fot. CAF



PRZED OBIEKTYWEM

fotografów zmusił obu hokeistów do pozowania tak długo, póki wszyscy nie dokonają zdjęć. W tłumie tym znajdował się także fotoreporter agencji Keystone, czego widowym dowodem jest poniższe zdjęcie kapitanów obu drużyn.

fol. Keystone



CYPR WALCZY



Fot. Keystone

Policja brytyjska, tłumiąca ruchy narodowe na Cyprze, aresztowała załogę statku „Św. Jerzy”, który potajemnie przewoził broń. Na zdjęciu: S. Loissidis, członek Komitetu dla Unii Grecji i Cypru, prowadzony na rozprawę sądową.

Trzecia salwa

JÓZEF KOZŁOWSKI

W POWIECIE kutnowskim, prawie na granicy z gostyńskim, leży wieś Łanięta. Wieś — bez chłopów. Przed wyzwoleniem mieszkali tam sami robotnicy majątków — parobcy, farnale.

Do roku 1935 sporo robotników pracowało w cukrowni, ale wówczas właściciele kapitałowi dla wywindowania cen na cukier zlikwidowali w tych stronach kilka cukrowni. Zabudowania fabryczne rozebrano do fundamentów, robotnicy znaleźli się na bruku. Z cukrowni pozostały tylko ogrodzenia i czerwone bloki mieszkalne...

CYRKULARZ Nr 901
Wiosną roku 1905 całe kutnowskie porwało się do walki strajkowej. Nikt nie chciał wyjść na pole pańskie. Ludzie zaczęli domagać się „postępków” — lepszych zarobków, wyższych ordynarii, więcej ziemniaków, mleka. Zaczęło się w pierwszych dniach marca, kiedy to robotnicy rolni majątków Wyganowskiego w Łanięcie i Kiniorskiego w Suchodębach ogłosili strajk. Obszarnikom oświadczyli, że porzucają pracę za przykładem robotników fabrycznych... Wrzenie rewolucyjne szybko rozszerzało się i obejmowało coraz to nowe wsie. W Łanięcie i wokół stanęły wszystkie młyny, cukrownie, gorzelnie. W niektórych cu-

krowniach, jak np. w Strzelcach, Dobrzelinie i Wałętynie, doszło do rozruchów. Grupy robotników fabrycznych i rolnych oraz chłopów, niekiedy nawet po kilkaset osób, szły od cukrowni do cukrowni, od folwarku do folwarku, nawołując do porzucenia pracy.

Strajk roku 1905 na wsi kutnowskiej był niemal że powszechny.

Ze wszystkich stron napływały do Warszawy depesze o zamieszkach wśród robotników rolnych. „Nastroje na wsi — pisał gubernator piotrkowski do generała-gubernatora warszawskiego — wymagają energicznych środków, by nie przybrały szerszego i niebezpiecznego charakteru”. Gubernatorzy żądają „szybkiego przeciwdziałania ze strony władzy karającej”.

15 marca z kancelarii generała-gubernatora warszawskiego wyszedł cyrkularz Nr 901, nakazujący wszystkim władzom na terenie całego Królestwa Polskiego rozprasać na wsi w jak najenergiczniejszy sposób grupy strajkujących robotników i chłopów, i zalecający nie cofać się przed użyciem siły zbrojnej.

ZADANIE KAPITANA GRIBA

21 marca około godziny 9 rano do kancelarii naczelnika powiatu kutnowskiego wpadł pisarz gminny z Mikształa — Sobociński, z doniesieniem od dziedzica Wyganowskiego. Obszarnik zawiadomił, że na terenie gminy Mikształa (Łanięta należała wtedy do tej gminy) pojawiła się 70-osobowa grupa strajkujących robotników, przybyłych prawdopodobnie z powiatu gostyńskiego i podążających przez Łanięta do Suchodęb. Naczelnik powiatu polecił natychmiast wezwać do siebie naczelnika straży ziemskiej, kapitana Griba. Szukali go długo, bo po hulance poprzedniego wieczoru ugrzązł gdzieś i dopiero po godzinie mógł stawić się „na rozkaz”. Zadanie nie było zbyt skomplikowane, tak że nawet Grib zrozumiał, o co chodzi.

Rozpedzić!

W godzinę później szosą kutnowską Grib konno prowadził kompanię — 66 zbrojnych żołnierzy na wozach.

Tymczasem grupa robotników podążająca do Suchodęb zatrzymała się w Łanięcie. Przybywszy bez trudu nakłaniali miejscowych ludzi do porzucenia pracy. Robotnicy z Łanięty, zarówno z folwarku, jak i z cukrowni, przyłączyli się do strajkujących, których grupa powiększyła się teraz do około 300 osób. W Łanięcie robotnicy z innych wsi trochę odpoczęli; miejscowi ugościli ich mlekiem i chlebem.

Niebawem wszyscy razem wyruszyli na Suchodęby. Zadudniły „kocie łby” szosy kutnowskiej. Minęli cukrownię i znaleźli się przy bloku mieszkaniowym, co stoi już prawie przy wylocie ze wsi. Tłum był nie zorganizowany, strajkujący szli z żonami, nawet dziećmi. Idąc szosą zauważyli, jak do zagajnika od strony kutnowskiej podjechało kilka furmanek z wpjaskiem.

Był to Grib ze swymi żołnierzami. Przed paroma zaledwie dniami przełożeni wytknęli mu, że „niezdecydowanie działał”. Teraz chciał za wszelką cenę odznaczyć się i rehabilitować przed nimi.

Odległość między strajkującymi a wojskiem zmniejszała się. Idący na przód grupy wkrótce zauważyli wojsko. — „Soldaty!” — rozległy się głosy. — „No, to co?” — „Nikommu nic nie robimy złego”.

Grib zbliżył się do tłumu. Zaczął coś mówić, później krzyczeć, ale w ogólnej wrzawie nie było go prawie słychać. Mówił zresztą po rosyjsku, więc też nikt go nie rozumiał. Nim zdążyli ludzie pomyśleć, czego żąda od nich oficer, rozległa się salwa, potem druga... Tłum zakolał się, kilka osób osunęło się na ziemię. Rozpaczliwe krzyki napęliły powietrze. Ludzie ratowali się ucieczką; jedni drugich przewracali, tratali rannych i zabitych. Dopadli zagajników. Tam dosięgła ich trzecia salwa...

Na drodze, na polu, w zagajniku leżały trupy i jęczeli ranni. Grib nie spiesząc się (rozkaz przecież wykonał...) posłał żołnierzy z furmankami, kazał rannych i zabitych ułożyć na wozach, i cały ten kondukt odesłał do Kutna. Po drodze kilku rannych zmarło z upływu krwi. Dopiero wieczorem wozy znalazły się w Kutnie. Zanim rannych umieszczono w szpitalu, była już późna noc.

W KUTNIE

Trudno było doliczyć się ofiar. Jeszcze na drugi dzień po masakrze ludzie w rowach i zagajnikach znajdowali trupy. Było 12 zabitych i 15 rannych.



Kamień pamiątkowy na grobie poległych na cmentarzu w Kutnie.

Fot. H. Jurko

ZOFIA LINDORFÓWNA

WSPOMNIENIE O JERZYM SZANIAWSKIM

GRAŁAM w trzech sztukach Szaniawskiego: w samych początkach mojej kariery scenicznej — „Med w „Zeglarzu”, oraz dużo później — Helenę w „Moście” — i Helenę w „Fortepianie”, „Zeglarza” i „Fortepian” graliśmy w przedwojennym Teatrze Narodowym, „Most” w Teatrze Nowym (Sale Redutowe). Przez wiele więc dni, tygodni i miesięcy obcowalam z twórczością Jerzego Szaniawskiego, z jego pięknym słowem, z postaciami przez niego stworzonymi. Żyłam w klimacie jego sztuk, a klimat to jedyny i niepowtarzalny. Przypadek też chciał, że i mój chrzest sceniczny odebrałam również poprzez Szaniawskiego, grając na popisie Kursów Dramatycznych na scenie Teatru Polskiego w Warszawie — Nelly w „Papierowym kochanku”.

„Zeglarza” wystawił Teatr Narodowy za dyrekcji Kazimierza Kamińskiego, w dekoracjach Wincentego Drabika i w reżyserii Stefana Jaracza, który — o ile się nie mylę — po raz pierwszy wówczas próbował swych sił w tej dziedzinie. Kapitan Nuta grał Mieczysław Frenkiel. Od razu na próbie czytanej grających owiała i urzekła atmosfera sztuki Szaniawskiego. Na dalszych próbach często bywał Kazimierz Kamiński, pomagając Jaraczowi, któremu dość ciężko szło w tych reżyserkich początkach; doradzał mu, robił uwagi. Autor, Jerzy Szaniawski — siedział ciuchotko, ukryty w mrokach ciemnej widowni, przysłuchując się w milczeniu.

Nie miał daru wymowy, a będąc z natury człowiekiem nieśmiałym, skromnym i wrażliwym — w szerszym gronie ludzi tracił kontens, mając wielkie opory w wypowiedzeniu swej myśli. Wydobycie słowa stawało się widocznym wysiłkiem, zmaganiem się i walką z samym sobą. Jeśli go o coś zapytano bezpośrednio, mienił się na twarzy, gubił w półśmieszkach, przyglądał włosy, a wszystko to miało zamaszkować jego mękę przed wypowiedzią, której trzeba było się raczej domyślić w monosylabach i półdźwiękach. Był w tym tak bezradny, a tak rozbrajający, wzruszający i pełen uroku, że po prostu serce topnia-

ło, kiedy się patrzyło na tego świetnego, subtelного pisarza rodzącego z takim trudem każde mówione słowo. Mimo to jednak umiał — w jakiś niewiadomy sposób — bronić swoich koncepcji artystycznych, umiał nadać właściwy bieg pracy nad swymi sztukami, które z takim talentem pisał.

Tak było z Kazimierzem Kamińskim podczas prób do „Zeglarza”. Kamiński coś zmieniał, coś reżyserko poprawiał i przeprowadzał, z czym Szaniawski zgodzić się nie mógł i tak coś jakoś bąknął, tak zamruczał, że Kamiński obraził się i na próbie przychodził przestał.

Wielki Mieczysław Frenkiel jako Kapitan Nut — był wspaniały. Natomiast główna rola młodego bohatera była zaprzeczeniem osobowości i rodzaju uzdolnień grającego ją aktora. Stefan Jaracz męczył się bezowocnie, lecz w rezultacie nie poradził nie mógł. Po generalnej próbie, wobec całego grającego zespołu, zgromadzonego na scenie, podszedł Jaracz do Szaniawskiego prosząc go o autorskie uwagi o całości spektaklu i o każdym z poszczególnych wykonawców. Jerzy Szaniawski z wypiekami na twarzy wyjął ciuchotko o wszystkich aktorach pochlebne zdanie, a mówiąc o niezrównanym Kapitanie Nucie — Mieczysławie Frenkle, wyraził swój zachwyt samymi wykrzyknikami, po czym zamilkł zasmucony, nie wymieniwszy wcale roli młodego bohatera. Po tym widocznym dla nas wszystkich wysiłku, pełnym zdenerwowania, ruszył wolnym krokiem brzegiem sceny, wzduł rampy. Jaracz niespokojnie podreptał za nim. Idąc tak „gesiego” doszli do ściany obramowującej otwór sceniczny. To ich zatrzymało w tym powolnym, jakby pogrzebowym marszu.

— No, a młody bohater? — spytał wreszcie Stefan Jaracz.

Szaniawski spojrzał na niego z rozpaczą, odwrócił się gwałtownie do ściany, oparł o nią głowę — i głośno zasłochał...

Ach, Szaniawski! Szaniawski! — Poeta prozy, poeta nastroju, poeta i znawca du-

szy ludzkiej, umiający nieraz zaledwie paroma, a często — niedokończonymi zdaniem — ukazać całe jej piękno lub brzydotę.

Wrażliwy, nadwrażliwy artysta, pełen nie-domówień, refleksji, głębokich myśli i czaru. Grając w jego sztukach i chłonąc zawsze żarliwie jego specyficzność, tę jego jakąś urokliwą aurę, nie mogłam się nigdy oswoić w znaczeniu zwykłej, życiowej codzienności z tym tak dobrze mi przecież znanym autorem.

Zawsze zetknięcie się z tym człowiekiem i z jego twórczością robiło na mnie wrażenie i było niezwykłym przeżyciem. Poza sztukami, w których brałam udział — nasuwały się reminiscencje z oglądanych i nabożnie słuchanych innych jego sztuk: z „Ptaka”, z „Lekkoducha”, z „Adwokata i róż”. Ileż postaci głęboko interesujących, ileż pomysłów oryginalnych, myśli strzelających jak rakiety lub snujących się powiewnie! Piszę o sobie, ale na pewno tak samo odczuwali i inni, wszyscy ci, którzy obcowali ze sztuką Jerzego Szaniawskiego lub choćby się o nią otarli.

W jego sztukach jest i coś z muzyki i coś z przyrody, są uczucia najsubtelniejsze, a są także i zle moce, ciemne potęgi żywiołu. Nic, co ludzkie — nie jest mu obce, zna duszę ludzką i umie ją rozszyfrować, zna ludzkie namiętności, wzloty i upadki, zna ludzkie serce. A nad tym wysokim znawstwem, nad ludźmi, zrodzonymi z jego fantazji i wyobraźni, nad ich życiem — snuje się i unosi ta jego aura, ten jego klimat własny i jemu tylko właściwy, jedyny i niepowtarzalny.

Tyle lat minęło od naszej wspólnej pracy w teatrze, a dziś oto, kiedy piszę te słowa z okazji jego święta jubileuszowego, które jest radością dla nas wszystkich, nie czuję bynajmniej tej ogromnej rozłąki: moje wspomnienia są świeże, jakby wczorajsze, a uczucia jeszcze gorętsze, bo poparte wielką tęsknotą za przesubtelną, piękną twórczością Jerzego Szaniawskiego! Czekamy!!!



„Zeglarz” w Teatrze Narodowym w roku

Wśród zabitych — dwie kobiety: Lucja Orlińska i Elżbieta Wasilewska, 12-letni Stanisław Witeczak i 14-letni Walenty Skrobski. Także wśród rannych były kobiety i dzieci.

Pogrzeb zabitych, który odbył się w Kutnie, przeobraził się w demonstrację antycarską. Tego dnia wszystkie sklepy na znak protestu były zamknięte. Do miasta ścigały wielotysięczne tłumy robotników i chłopów z całego powiatu. Garnizon wojskowy i policja w obawie przed rozruchami opuściły miasto. W pogrzebie szła delegacja robotników kutnowskich niosąc wieńiec z napisem: „Od rodaków Kutna — braciom włościanom”. Oburzenie było tak powszechne, iż wydawało się, że dojdzie do poważnych wystąpień przeciw sprawcom rozlewu krwi.

Znaleźli się jednak obrońcy carskiego „porządku”. Dziekan kutnowski — ks. Zbrowski i ks. Wołowski wezwali demonstrujących do porządku i posłuszeństwa, a obszarnik, działacz endecki — Kiniorski, przybierając pozę obrońcy chłopów, w liście do generała-gubernatora warszawskiego prosił o ukaranie Griba, gdyż „wydarzenie to miało miejsce w dzierżawionym przeze mnie majątku i z moimi robotnikami i nie może ono nie wpłynąć na moje sprawy finansowe”...

Nastroje były ciągle groźne. W całej okolicy robotnicy folwarczni i chłopcykowali się do wystąpienia. Przestraszeni panowie musieli pójść na ustępstwa: podwyższyć pensje i ordynaria, zaspokoić niektóre żądania robotników folwarcznych i z cukrowni.

W ŁANIĘCIE PO 50 LATACH

Pamięć o poległych w roku 1905 żyje w Łanięcie i w całym powiecie kutnowskim. W latach międzywojennych radni komunistyczni w radzie miejskiej w Kutnie przeformowali uchwałę o wzniesieniu pomnika na grobach poległych chłopów z Łanięty. Groby te do dziś dnia otoczone są opieką społeczeństwa kutnowskiego. W samej Łanięcie, w miejscu, gdzie rozstrzelano robotników i chłopów, wzniesiono kapliczkę dla upamiętnienia tych wydarzeń. Zburzył ją okupant.

Dzisiaj w Łanięcie i okolicy istnieją dwa PGR-y oraz powstało pięć spółdzielni produkcyjnych. Żyją tu jeszcze ludzie pamiętający wydarzenia 1905 roku, czasy walki z caratem i obszarniczą przemocą.



Młodzież francuska niejednokrotnie dawała wyraz swym żądanom: pragniemy pokoju, przekonani jesteśmy o możliwości pokojowego współistnienia narodów.

TARGI I NACISKI

Korespondencja własna „Świata”

FRANCIS CREMIEUX

Paryż, w marcu

ZA KILKA dni Rada Republiki przystąpi do debaty nad układami paryskimi. Dowiaduję się w tej chwili, że debata zapowiedziana od dłuższego już czasu na 22 marca — została odroczone do 23 lub 24 marca. Oto rząd Faure'a „przy pracy”. Premier stara się za wszelką cenę nakłonić chwiejnych do głosowania za układami paryskimi. Chodzi mu o to, by układy te przyjęło w Radzie Republiki bez wszelkich poprawek, gdyż — jak Wam zapewne wiadomo — w razie zgłoszenia jakichkolwiek poprawek sprawa wraca do Zgromadzenia Narodowego, co oczywiście skomplikowałoby zarówno sytuację rządu Faure'a wobec jego atlantyckich partnerów, jak również pokrzyżowałoby szyki Eisenhowerowi i Churchillowi.

Rząd Faure'a i jego poplecznicy czynią się niewątpliwie wbrew opinii publicznej, ponieważ poza nią. Układ sił w parlamencie nie odzwierciedla bowiem bynajmniej właściwego układu sił w społeczeństwie. Przy rozpatrywaniu obecnej sytuacji politycznej we Francji nie wolno gubić tej prawdy z pola widzenia. Tylko ona bowiem może w prawidłowym naświetleniu wypadków.

Wszystkie owe targi i naciski dokonują się niewątpliwie wbrew opinii publicznej, ponieważ poza nią. Układ sił w parlamencie nie odzwierciedla bowiem bynajmniej właściwego układu sił w społeczeństwie. Przy rozpatrywaniu obecnej sytuacji politycznej we Francji nie wolno gubić tej prawdy z pola widzenia. Tylko ona bowiem może w prawidłowym naświetleniu wypadków.

wyborcze z roku 1951 sprawiło, że przeciwnicy niemieckich odwetowców stracili w debacie nad układami paryskimi około 120 głosów. Mimo to układy paryskie zostały ratyfikowane jedynie mizerną większością 27 głosów. 340 posłów odmówiło wzięcia odpowiedzialności za wskrzeszanie odwetowego militarysty niemieckiego. Niechaj nie zapomną nasi zagraniczni przyjaciele: naród francuski nigdy nie uzna owej większości 27 głosów.

Rząd Mendes-France'a przewrócił się pozornie na sprawach Afryki Północnej — lecz w rzeczywistości upadek jego spowodowany został polityką premiera w sprawie układów paryskich. W walce przeciw tej polityce decydującą rolę odegrała Partia Komunistyczna. Klasa robotnicza nie miała wątpliwości co do reakcyjnej treści projektów Mendes-France'a. W polityce zagranicznej projekty te oznaczały wyścig zbrojeń, zerwanie paktu francusko-radzieckiego; w polityce wewnętrznej prowadziły one do ciągłego umacniania trustów, przekreślały możliwość realnego wzrostu płac, sankcjonowały terror w Afryce.

Mendes-France usiłował stroić się cały czas w szaty „lewicowości”. Udało mu się zmylić chwilowo klasy średnie i nawet część klasy robotniczej. Burżuazja przystraja niekiedy swych reprezentantów w owe „lewicowe maski” — by móc jeszcze łatwiej wyzyskać ich w przyszłości.

Jest już ogólnie znanym faktem, że Mendes-France przygotowuje się do wyborów, które mają się odbyć w przyszłym roku. Pragnąłby on „odbić” głosy komunistom. Operacji tej dokonać chciałby przy poparciu socjalistów. Poniesie jednak niewątpliwą klęskę, gdyż nikt już nie uwierzy w dobrą wolę owego wiernego obrońcy interesów imperializmu amerykańskiego.

Tymczasem wzmaga się w kraju ofensywa przeciwko ratyfikacji układów paryskich. W całej Francji odbywają się manifestacje i strajki protestacyjne przeciw remilitaryzacji Niemiec. Delegacje robotnicze odwiedzają członków Rady Republiki, wzywając ich do głosowania przeciw układom paryskim. Rząd Faure'a znajduje się niewątpliwie w pozycji nader niepewnej. Czy zdoła on umocnić swe stanowisko w trakcie i w rezultacie debaty w Radzie Republiki — wykażą najbliższe dni. W każdym razie — jakkolwiek wynik dadzą owe manewry — nie mają one nic wspólnego z wolą narodu francuskiego. Ten bowiem — bez względu na taki czy inny obrót spraw na terenie parlamentarnym — nie przestał i nie przestanie walczyć przeciw remilitaryzacji Niemiec.

Jedno z wielu zebrzań protestacyjnych przeciwko remilitaryzacji; naród francuski, wbrew zamiarom Faure'a, przeciwny jest uzbrajaniu hitlerowskich odwetowców.



NIAWSKIM



1925. W roli Med — Zofia Lindorffówna

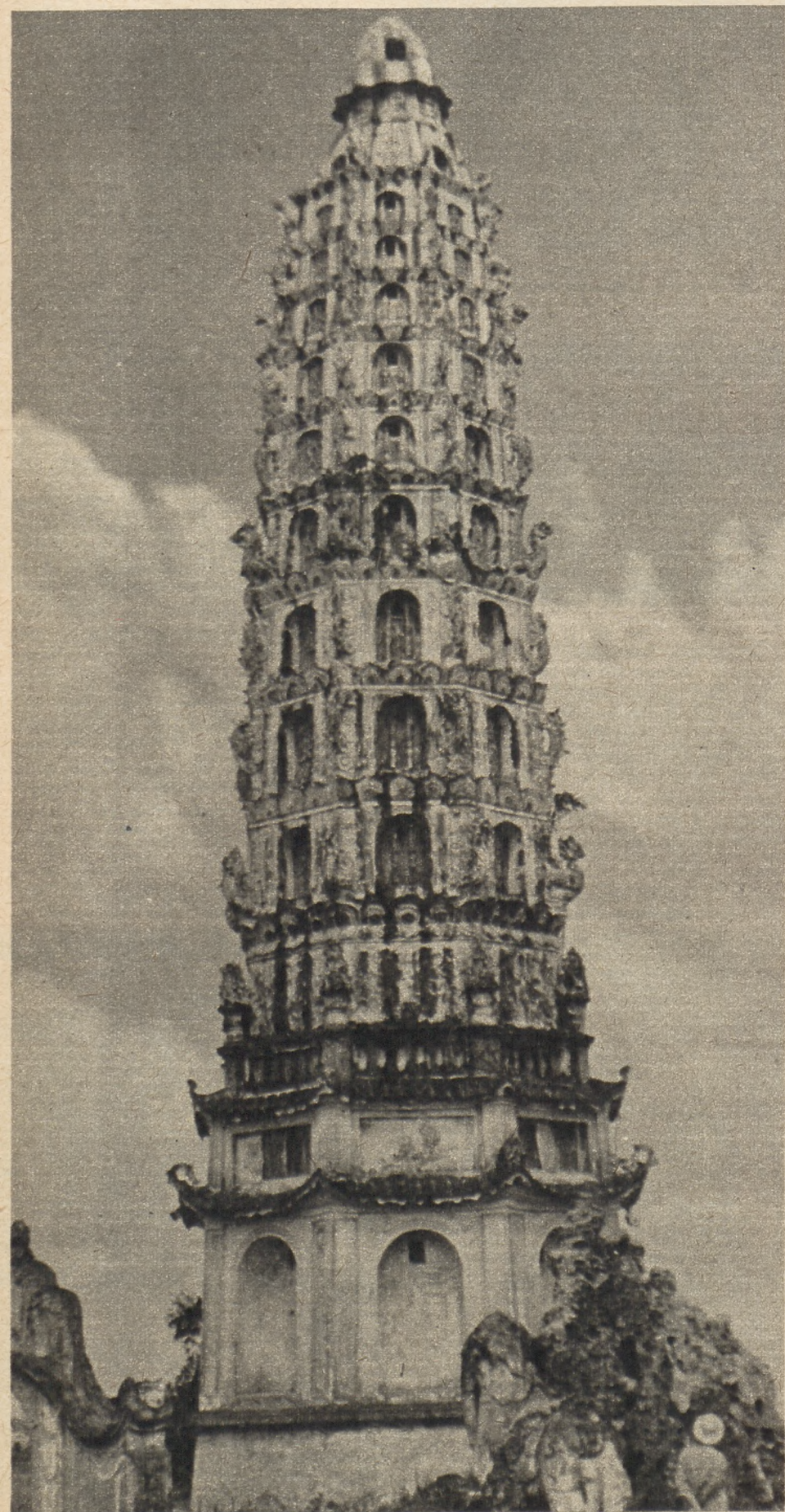


...na szerokiej, pociągniętej złotem pier-
si Buddy — ślady kul karabinowych

MIROSLAW ZULAWSKI

W PAGODZIE CO-LE

Zdjęcia autora



...JEST LEKKO POCHYLONA NICZYM WIEŻA W PIZIE...

NA południowo-wschodnim krańcu Deltę Rzeki Czerwonej leży ładna wieś Xuan-Khu, z której pochodzi Dang-Xuan-Khu, pierwszy sekretarz Wietnamskiej Partii Robotniczej, bardziej znany pod pseudonimem z okresu nielegalności, Truong-Chin. Niedaleko tej wsi, o kilkaset metrów od szosy, leży jedna z najpiękniejszych pagód wietnamskich, Co-Le. Otaczają ją ze wszystkich stron ryżowiska, poprzecinane nawadniającymi kanałami. Wśród tych ryżowisk, podobnych na pierwszy rzut oka do łąk dojrzewającej pszenicy, w krajobrazie płaskim i zielonym wznosi się wśród palm i wielkich drzew kamienny poemat.

Do pagody Co-Le dochodzi się ścieżyną, wiodącą grzbietem grobli. To odosobnienie budowli podkreśla jeszcze bardziej jej tajemnicze piękno. Wybudowano ją w XIII wieku w stylu, jaki przywędrował tu wraz z ludem wietnamskim z południowych Chin. Wietnamczycy, zjadacze ryżu, posuwali się z północy na południe dolinami, a wraz z nimi posuwał się buddyzm. Pradawne plemiona tej ziemi, różne szczepy pochodzenia indonezyjskiego, utrzymały się w górach, a wraz z nimi pierwotne wierzenia religijne, oparte na kulcie duchów.

Pagoda Co-Le składa się z kilku budowli i grobowców. Najwysioślejsze są dwie: właściwa świątynia, mieszcząca ogromne posągi Buddy, oraz smukła pagoda w kształcie wieży. Pagoda ta ma parę bardzo charakterystycznych właściwości. Jest lekko pochylona, niczym wieża w Pizie. Ale co dziwniejsze, cała stoi na grzbiecie olbrzymiego kamiennego żółwia, który wyłania się do połowy z głębokiej sadzawki. Brzeg żółwiej skorupy stanowi zarazem mostek, po którym można przedostać się z jednej strony sadzawki na drugą. Ową kamienną żółw, symbol trwania i długowieczności, wykonany jest z takim realizmem, z takim artystycznym, że robi wrażenie żywego.

Po czterech bokach pagody stoją u sztucznych skał cztery białe słonie, które jako symbol świętości i siły zawędrowały tu z Syjamu. Mają one na grzbietach bogatą uprzęż. Do każdego z nich prowadzi z grzbietu żółwia lukowaty, kamienny mostek.

Od pagody-wieży idzie się do właściwej świątyni pośród licznych grobowców i bram, których smukłość podkreślają jeszcze bardziej rozłożyste palmy bananowe. Ostre światło padającego prostopadle słońca zmienia cały obszar Co-Le w kontrastowe plamy światła i cienia.

W świątyni przyjmuje nas buddyjski bonza. Najpierw częstuje nas zieloną, nie suszoną herbatą zaprawioną kwiatem lotosu. Siedzimy chwilę w cieniu, pachnącym dymem kadzidelnych palczek przedśionku i słuchamy jego opowiadania. Mówi nam o zniszczeniach, jakich doznała pagoda Co-Le w ostatnich miesiącach wojny. Francuzi wycofali się z okolicy po klęsce pod Dien-Bien-Fu, ale wywieźli ze sobą olbrzymi posąg Buddy, odlany z brązu, który stał w dolnej świątyni. Pozostał w górnej Budda drewniany, bardzo stary, ale i on... Zresztą zobaczymy sami.

Bonza prowadzi nas do górnej świątyni wąskimi, krętymi schodkami. Na górze uderza nas niemiło jaskrawe.



...WZNOSI SIĘ WŚRÓD

słoneczne światło. Zwykle wnętrza świątyń buddyjskich są mroczne. Oświetla je tylko nikły płomyk ofiarnego kaganka, którego odbłask złoci się ledwie na brązowych i miedzianych figurach Buddy, Sziwy, Nirwany... Tu dzienne światło, wróg tajemniczego nastroju, wtargnęło skądś i pada prosto na twarz olbrzymiego Buddy, siedzącego w krypcie. Bonza opowiada, że po odejściu Francuzów nadleciały ich samoloty i zbombardowały pagodę. Bomby zerwały część dachu. Równocześnie artyleria odległego o kilka kilometrów fortu rozpoczęła ostrzeliwanie budowli. Po zrzućeniu bomb lotnicy zawrócili i ostrzelali pagodę z karabinów maszynowych. Widzimy wyraźnie na szerokiej, pociągniętej złotem piersi Buddy ślady kul karabinowych. Spokojny, mądrze uśmiechnięty Budda unosi liturgicznym gestem dwa palce: jego dłoń, pokryta także wysypką po kulomociu, nie opadła jednak. Budda siedzi z głową w słońcu, a wonne dymy kadzidełek ulatują przez dziurę w dachu w chmury.

Archeologowie i historycy sztuki biadają od dawna, że Wietnam ubogi jest w murowane pomniki architektury i sztuki. Próżno w nim szukać bajkowych ruin Ang-kor, leżących w sąsiedniej Kambodży. Zachowało się niewiele tylko trwałych pamiątek po wielkiej przeszłości tego kraju.

Jedną z najpiękniejszych była słynna na cały świat „pagoda na jednej kolumnie” — Chua-Mot-Cot w Hanoi. Był to jedyny w swoim rodzaju zabytek wietnamskiej sztuki: drewniana, maleńka, piękna jak klejnot pagoda, stojąca na środku małej sadzawki na jednym, jedynym słupie z kamienia. Odwiedziłem „pagodę na jednej kolumnie” natychmiast po przybyciu do Hanoi. Spóźniłem się o kilka dni. To wystarczyło, choć pagoda stała kilka wieków. Pewnego dnia, tuż przed opuszczeniem Hanoi przez Francuzów, przyszło do pagody dwóch buddyjskich



...CAŁA STOI NA GRZBIECIE OLBRZYMIEGO KAMIENNEGO ŻÓLWIA...

mnichów. Za takich w każdym razie podali się miejscowym bonzom. Poprosili o prawo pomodlenia się ostatni raz w pagodzie Chua-Mot-Cot, gdyż, jak oświadczyli, uchodzą na Południe. Bonzowie zgodzili się, pełni uznania dla pobożności przybyszów. W jakiś czas po odejściu pobożnych pielgrzymów pagoda wyleciała w powietrze. Z klejnotu starej architektury, która zdumie-

wała świat, pozostał potrzaskany kamienny słup i kilka drewnianych żeberowań. „Bрудna wojna” zakończyła się, ale jej inwestorzy nadal brudzili swe ręce...

W parę dni później przybył do pagody inny mnich. Drżącymi ze wzruszenia rękoma przybił do pnia drzewa rosnącego w pobliżu resztek Chua-Mot-Cot kawałek papieru. Był to wiersz

Mój tłumacz przełożył mi go nieudolnie:

„O słynna pagodo, która nikomu nie wadziłaś, dlaczego cię znienawidzono?

Dlaczego rzucono kamień i schowano za plecy ręce?

Ach wiem, bo z nasienia bakłażanu nie można jeść melona.

Stara, mała pagodo, jakże cię jeszcze kocham...”



PALM I WIELKICH DRZEW KAMIENNY POEMAT...



...BIAŁE SŁONIE, SYMBOL ŚWIĘTOSCI I SIŁY...

KONFRONTACJA

DWAJ STAMTĄD

(8)

Henryk Koj — jeden z dwóch agentów, przysłanych przez generała Gehlena do Polski, został aresztowany. Zaczyna się stopniowa likwidacja siatki szpiegowskiej, zmontowanej przez obu agentów. Drugi z nich — Alfred Pietruszka jest jeszcze na wolności. Zwerbował on już do wywiadu kilka osób — m. in. jednego żołnierza czynnej służby. Zwerbowanych przekazywał w tajemniczość i zaopatrywał w chemikalia. W załączonej przez niego „martwej skrzynce przedmiotowej” znalazły się raporty szpiegowskie a także próbki produkcji wielkiej śląskiej fabryki chemicznej, interesującej wywiad Gehlena. Kontrwywiad polski zapobiegł przekazaniu tych materiałów za granicę.

LUCJAN WOLANOWSKI

ALFRED JURANEK, urodzony 21 kwietnia 1927 roku w Małej Dąbrówce i tamże zamieszkały, zgubił dowód osobisty numer... Ogłoszenie takie miało się ukazać w którejś ze śląskich gazet. Nigdy jednak nie zostało złożone w administracji żadnego z pism i nigdy nie zostało wydrukowane. Dzieje tego ogłoszenia są niecodzienne...

30 sierpnia 1953 roku Alfred Juranek, pracujący w hucie w Szopienicach, wywołany został o godzinie 13 przed bramę tego zakładu. Tam czekał na niego Alfred Pietruszka. Porozmawiali chwilę i Juranek przystał na propozycję swego dawnego kolegi. No bo i cóż w tym złego? Pojechać do Grocholibia i tam wywołać z mieszkania jakąś kobietę — oczywiście przejazd płaci Pietruszka i za fatygę też coś obiecał. Może to męzatka i on się boi jej chłopca — zawsze był babiarzem...

Po pracy ruszył Juranek w drogę ze swym kompanem. W Kędzierzynie przyszło im czekać na pociąg. Wyszli z pomieszczeń stacyjnych i wolnym krokiem zawędrowali na małą łączkę. Tam Pietruszka roztoczył przed Jurankiem wspaniałe obrazy z życia w Niemczech zachodnich. Poinformował go z tajemniczą powagą, że granice na Odrze i Nysie zostaną przez Adenauera obalone, a wtedy... Przejęty Juranek pytał o terminy i dowiedział się, że to już kwestia tylko miesięcy. Zdumiony rozglądał się wokoło. W oddali rysowały się masywną sylwetką zabudowania kombinatu, torem kolejowym przesuwający się niemal co kilka minut ciężko ładowne pociągi, na łączce dzieciaki hałasowały przy grze w piłkę, ciesząc się przedostatnim dniem przed rozpoczęciem roku szkolnego. Nic, absolutnie nic tu nie wskazywało, że wojna zacznie się już za kilka miesięcy — jak zapewniał Pietruszka latem 1953 roku.

Juranek był i tak mile połączony zaufaniem, okazywanym mu przez kolegę, który dopuścił go do tajemnic stanu. Pietruszka imponował mu jeszcze bardziej, kiedy wspominał, że pracuje dla Adenauera, że — tu zniżył głos, jakkolwiek nikogo nie było w pobliżu — pracuje dla najlepszego wywiadu świata. Gdyby Juranek mógł zajrzeć do wnętrza swego rozmówcy, zobaczyłby wtedy zajęczą duszę, rozdygotaną ze strachu. Pietruszka snuł swe opowieści nie tyle dla Juranka, ile dla samego siebie — chciał się jakoś podtrzymać na duchu. Przeczuwał już niejasno, że coś jest nie w porządku. Niepokoił go brak wieści od Henryka Koj, współnika w szpiegowskim przedsięwzięciu. Wiózł więc Juranka, aby ten wywołał mu Elżbietę Stokłosę. Stokłosa powinna coś wiedzieć o Koj... Z drugiej strony — rozumował Pietruszka — właśnie przez przyjaźń z Kojem może i ona znaleźć się w kręgu ludzi zagrożonych, z którymi kontakty są niebezpieczne. „Nie rób nigdy sam niebezpiecznej roboty, jeżeli może ją za ciebie wykonać kto inny” — pouczał Pietruszkę mistrz sztuki szpiegowskiej, Kaiser. To rzekłszy, jako człowiek postępujący według własnych, żelaznych zasad, wysłał swego (pojętnego) ucznia Pietruszkę na śmierć do Polski — ale to już, jak zwykły mawiać Rudyard Kipling, zupełnie co innego!

W każdym razie Pietruszka pokrzepił się na duchu, opowiadając kompanowi o swej własnej nietykalności, gwarantowanej solennie przez największe autory-

tety szpiegowskie ze stajni Gehlena. Alfred Juranek ze zdziwieniem usłyszał nagle, iż jego rozmówca chciałby zobaczyć fotografię. Jaką? Właśnie Juranka! Szuka więc po kieszeniach, zagląda do przegródek portfela, ale nie znajduje żadnej własnej podobizny — ciekawe, zresztą, po co może ona być Pietruszce potrzebna, czy na pamiątkę? „Masz przecież zdjęcie w dowodzie osobistym” — przypomina Pietruszka. Juranek sięga po dowód i wręcza go kolegę, który z lekceważeniem i spokojem, właściwym ludziom przekonanym o ważności swej misji, chowa dokument do kieszeni. Zaraz potem sięga do teczek, wydobywa stamtąd nowy szwajcarski zegarek i — również bez słowa — daje go Jurankowi. Ów nie bardzo pojmuje sens transakcji.

— Słuchaj, bez kawałów, co ja teraz zrobię?

Pietruszka jest wyraźnie znudzony małostkowością kolegi. Znowu jego dłoń wędruje do kieszeni i dwudziestozłotówka zmienia właściciela, idąc śladem zegarka.

— Phi, ważne rzeczy! Dasz ogłoszenie do gazety o zgubie i załatwiona sprawa! A zegarek jest twój!

Obaj Alfredowie — Juranek i Pietruszka (ten pierwszy uboższy o dowód osobisty, a bo-

gatszy o zegarek i 20 złotych) — jadą dalej. Zjawiają się w Grocholibiu, gdzie Juranek idzie do rodziców Stokłosy. Wraca rychło. Wszystko w porządku, dowiedział się, że Elżbieta Stokłosa cieszy się dobrym zdrowiem i że nawet niedługo wybiera się za mąż. Podniesiony na duchu Pietruszka jedzie więc ze swym pomocnikiem do Prudnika. Po drodze pokazuje mu jeszcze swój pistolet i zapewnia, że nie boi się nikogo ani niczego.

Mimo to każe Jurankowi, aby umówił go na dzień następny ze Stokłosą w Gliwicach i czeka nieopodal, na małym skwerze, niedaleko tego miejsca, gdzie niedługo Henryk Koj też czekał na tę samą kobietę. Juranek idzie przeto jako wysłannik wysłannika „kanclerza agresji” po Elżbietę Stokłosę. I tym razem jest zwastunem dobrej nowiny. Elżbieta przybędzie jutro do Gliwic... „Dobrze, teraz możesz odejść” — mówi Pietruszka, wciskając Jurankowi w dłoń nie liczoną garść banknotów, wyjętą na chybił trafił z bocznej kieszeni. Jest już zupełnie ciemno, więc obdarowany śpieszy pod latarnię, gdzie starannie wygładza pomięte honorarium i skrupulatnie liczy. Spłuka ze złością: za taki szmat drogi, za takie bieganie na posyłki, dostał raptem dwie pięćdziesiątki i trzy piątki.

Alfred Juranek ma teraz 8 lat czasu, aby zastanowić się nad nieopłacalnością najmniejszych przysług; wyświadczonego świadomie gehlenowskim agentom. Nie zdążył już nadać ogłoszenia o swym „zgubionym” dowodzie osobistym, który miał z Pietruszką jechać do zachodniego Berlina i — po odpowiednim spreparowaniu — ułatwić poruszanie się po Polsce kolejnemu wysłannikowi generała Gehlena.

Dworzec kolejowy w Gliwicach jest o tej porze pełen podróżnych. Wpadają oni do bufetu dworcowego na krótko, wypijają piwo czy jedzą parówkę, wysłuchując uważnie zapowiedzi odjazdów pociągów. Przy stoliku siedzi młody człowiek i szeptem rozmawia z wyraźnie zdenerwowaną brunetką o kędzierzawych włosach. Ludzie, odpowiedzialni za odcięcie agentów Adenauera od naszego społeczeństwa, nie słyszą słów, wymienianych przy tym stoliku. Dopiero później mieli się dowiedzieć, że Pietruszka powiadomił Stokłosę, iż jej „narzeczony” Koj został aresztowany na skutek (powiedział to ze zwykłą pewnością siebie, nie dopuszczającą u rozmówcy żadnego zwątpienia), „zdrady” innego jej „narzeczonego” — kolejarza Ignacka. Stokłosa wysłuchała z ust Pietruszki obietnicy przeprowadzenia jej do zachodniego Berlina. Nie to jej teraz w głowie! Myśli o tym, który obiecał jej małżeństwo i spokojne szczęście, i o tym drugim, którego sama omotała pajęczyną znowy. Z oddali dobiega tubalny głos, zapowiadający odejście pociągu.

Wstają oboje od stolika. Pora się rozstać. Pietruszka nadrabia miną, usiłując podtrzymać na duchu przerażoną kobietę, jakkolwiek sam jest rozdygotany ze strachu. Myślał, że Elżbieta będzie wiedziała coś konkretnego, że może zdementuje jego przypuszczenia, że jakimś cudem okaże się, że Koj woli spokojną melinę przy ulicy Mickiewicza 9 w Prudniku niż ryzykowne wędrowki po Polsce w służbie Gehlena. Ale nie, tak nie jest — Koj przepadł bez wieści. Trzeba go teraz szukać na „punkcie kontrolnym” u sióstr Budzińskich w Nowej Soli. To jest jeszcze ostatnia nadzieja...

Jest wczesne popołudnie 31 sierpnia. Młody człowiek w ubraniu ucznia szkoły górniczej, zmęczony widać drogą i „drzemiający” przy sąsiednim stoliku z głową wspartą na dłoniach, słyszy wyraźnie, jak z piersi Elżbiety Stokłosy wyrwa się przy rozstaniu z przyjaciелеm „narzeczonego” głośnie westchnienie: „Ach, Heniek, Heniek — kiedyż ja ciebie znowu zobaczę?”

Oficer, który w placówce kontrwywiadu w Opolu czyta w godzinę później to zdanie w raporcie, podkreśla je lekko ołówkiem, pokazuje towarzyszkowi i rzecze: „Kiedy zobaczy ona Henryka Koj? Chyba znacznie wcześniej, niż się domyśla w najśmielszych marzeniach...”

W dwa dni później w tym samym gabinecie rozgrywa się kolejny, jeden z ostatnich, akt dramatu. Siedzi tam przy biurku oficer kontrwywiadu, a przy małym stoliczku przed biurkiem — zasiadł protokolant. Obserwujemy scenę z pierwszego rzędu krzesel!

O godzinie 16.07 do pokoju wchodzi niski, baczysty brunet, mający około 25 lat, który staje na baczność i melduje:

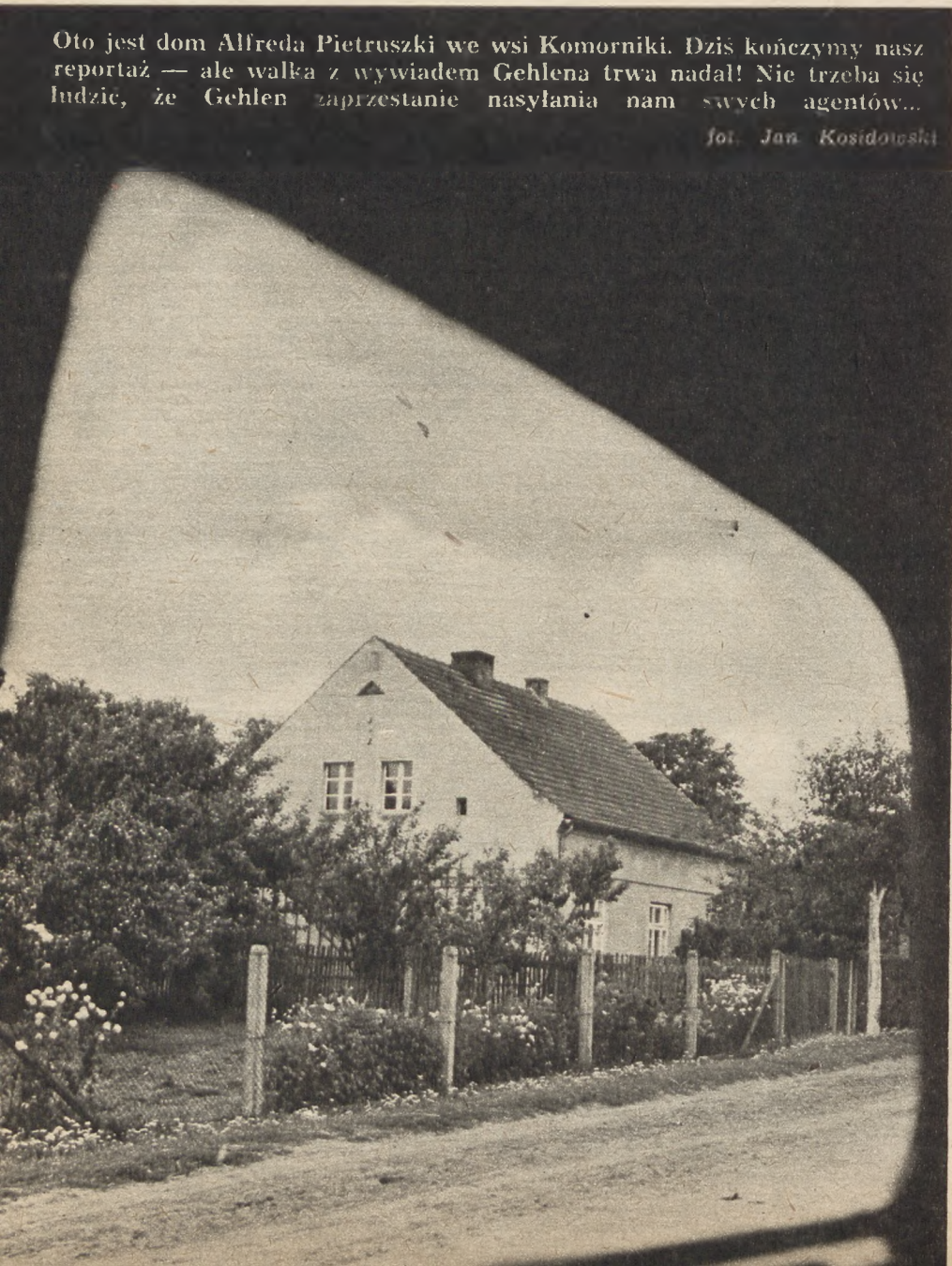
— Towarzyszu majorze! Oboje podejrzani doprowadzeni do konfrontacji.

— Dziękuję. Możemy zaczynać.

Po chwili w asyście dwóch funkcjonariuszy wkracza do gabinetu młoda kobieta. Przecież to Elżbieta Stokłosa! Siada na wskazanym jej krześle, na wprost oficera, z lewej strony biurka. Nie mamy czasu na przyglądanie się tej kobiecie — teraz nadchodzi, również wiedziony przez dwóch funkcjonariuszy, jakiś mężczyzna. Na progu ogarnia spojrzeniem oficera i kobietę. W tej chwili jak gdyby lekko zadrżał — ale może nam się to tylko zdawało? Pewnym, spokojnym krokiem przybliży się do biurka i siada na krześle.

Oto jest dom Alfreda Pietruszki we wsi Komorniki. Dziś kończymy nasz reportaż — ale walka z wywiadem Gehlena trwa nadal! Nie trzeba się łudzić, że Gehlen zaprzestanie nasyłania nam swych agentów...

for. Jan Kosidowski



Teraz scena warta jest pióra największych dramaturgów. Protokolantowi udziela się napięcie chwili. Widać, jak manipuluje bezwiednie ołówkiem i nieznacznie rozluźnia uwierający kołnierzyk. Ma przed sobą białe kartki papieru. Piszę datę i zaczyna notować.

— Elżbieta Stokłosa! Kim jest ten mężczyzna?
— To Henryk Koj, mój narzeczony...
— Henryk Koj! Kim jest ta kobieta?
— To Elżbieta Stokłosa.
— Jaki jest wasz wzajemny stosunek?
— Znamy się pobieżnie i wszystko, co ta pani mogła o mnie opowiedzieć jest...

— O to was nie pytałem. Twierdzicie, że znacie ją pobieżnie?

— Ja to tak tylko widzę, panie majorze. Jej się może przywidziało, że jest inaczej, ale przecież to nie jest kobieta dla mnie. Jedną czy dwie noce — to jeszcze ujdzie, ale na zawsze? Powiem szczerze, że mi się akurat nudziło w Prudniku, że nie miałem się tam do kogo przytulić, więc...

Kobieta zrywa się ze swego miejsca. Jednym ruchem dłoni oficer kieruje ją na dawne miejsce. Kobieta mówi szybko, urywanymi zdaniem. Słowa człowieka, dla którego się poświęciła i który — jak widzi po niewczasie — złamał życie jej i życie tego, którego sama namówiła do zbrodni — wstrząsnęły nią do głębi. Mówi o ich wspólnych nocach, o najbardziej intymnych rozmowach, o obietnicy małżeństwa, o tym świecie, kiedy w Prudniku uwierzyła w nietykalność gehlenowskich szpiegów, kiedy dała się porwać czarowi człowieka i uwierzyła magii tajemniczych pastylek. Zaczyna szlochać, gdy mówi o kolejarzu, którego doprowadziła agentowi. Opowiada o obietnicach wspólnego z Kojem wyjazdu do zachodniego Berlina, o „martwej skrzynce przedmiotowej“ we Wrocławiu. I raz po raz powtarza:

— I ten człowiek mówi teraz, że znamy się pobieżnie... On śmie tak mówić...

— Co wy na to wszystko, Koj?

Henryk Koj słuchał dotąd słów Stokłosa z opuszczoną głową. Podnosi ją teraz, sili się na przymiłny uśmiech, w nieswoim, sztucznie spokojnym głosem odpowiada:

— Niech pan jej nie słucha, panie majorze! To historyczka! My mężczyźni wiemy, że zazdrość może pomieścić w głowie nawet skądinąd zrównoważonej kobiecie. Jej się wydaje, że ja świata za nią nie widziałem. Niech pan major zwróci jej uwagę, że ona...

— Nie zapominajcie się i nie dawajcie mi dobrych rad: sam wiem, co mam robić. Elżbieta Stokłosa, czy podtrzymujecie wasze zeznanie?

Zapytana potakuje kilkakrotnie głową.

— Tak było.

— Henryk Koj, czy macie jakieś konkretne pytania do Stokłosa?

— Żadnych.

— Proszę odprowadzić podejrzaną do celi.

Elżbieta Stokłosa powstaje ze swojego miejsca. Odcodzi powoli, ale mijając krzesło, na którym siedzi Koj, zatrzymuje się przez chwilę. Patrzy na niego straszonym wzrokiem — wydaje się obecnym, iż rzuci się na sprawcę swych nieszczęść. Ale Elżbieta Stokłosa opanowuje się. W tej chwili, która jest ostatnim, absolutnie ostatnim widzeniem ich obojga, rzuca mu w twarz:

— Głupia byłem, że cię nie wyrzuciłam na łeb z tymi świeczkami i pastylkami. Skrzywdziłeś mnie, choć nie zrobiłam ci nic złego. A za co złamałeś życie mojemu narzeczonemu?

To trwa kilka sekund. Za Stokłosą zamknęły się już drzwi. W gabinecie pozostał Koj.

Nie jest to pierwsze przesłuchanie tego szpiega. Ile razy zmieniał on już swe opowiadanie, ile razy miał nadzieję, że wykrepi się sianem z całej sprawy. Po kolei przyskakiwały zmyślane mity o przemysłnictwie, o handlu zegarkami, wreszcie o pracy — ale dla wywiadu amerykańskiego. Koj ma na wszystko gotową odpowiedź. Przedstawiają mu sporządzony przez niego szkic koszar w X.

— Wasza robota?

— Tak.

— Co to jest?

— Kolega mieszkający w obozie SP. Naszkicowałem to, aby do niego trafić. Zegarek chciał ode mnie kupić.

Gdzie jest ten obóz SP? Jak się nazywa kolega? Nie, tego Koj tak szybko nie potrafi wymyślić. A raz, pod koniec przesłuchania, oficer śledczy mrugnął porozumiewawczo okiem i pstryknął swym paznokciem w kołnierzyk — jest to chyba na całym świecie umowna propozycja napięcia się czegoś mocniejszego.

Koj zdecydowanie odmawia. Przypominają mu się teraz dobre rady pana Kaisera: „Uważaj, aby ci nie dano jakiegoś środka oszołamiącego...“ Henryk Koj wdzierający jest teraz panu Kaiserowi za jego zapobiegliwość.

— Nie, nie — nie będę pił, jestem pełnym abstynentem...

— Po co wam wobec tego spirytus w waszym bagażu?

— Eee, boją mnie nerki i smaruję się co noc.

— Jak to, wczoraj pytałem was o zdrowie i twierdziliście, że jesteście idealnie zdrowi?

Powoli, powoli Koj musi powiedzieć wszystko. Za dużo wiadomo już o nim samym. Za dużo powiedzieli już o nim ludzie z jego siatki, których spotyka na kolejnych konfrontacjach. Przecież już teraz nie może twierdzić, że np. Skowronek jest o niego zazdrosny...

Henryk Koj zeznaje — ponieważ nie stoi za nim żadna idea. Boi się tylko o siebie, ponieważ uważa, że gra toczy się tylko o jego życie, a nie widzi niczego, za co warto by to życie oddać. Czytając codziennie jego zeznania, szef placówki kontrwywiadu — stary komunista, który wiele lat przesiedział przed wojną za swoją Ideę — mówi do oficera śledczego, przesłuchującego po kilka godzin dziennie Koję: „Prosty robotarz aresztowany przez policję za przechowywanie nasychnych, komunistycznych ulotek — wypływał zęby na przesłuchaniu, ale nie sypał! Wiedział dobrze, że co walczy! A Koj? Widzicie, kupno człowieka za pieniądze — nie wychodzi. Gehlen przekonuje się o tym teraz i będzie się przekonywał coraz częściej. My wiemy o jego ludziach wiele — a także i to, że pracują tylko dla pieniędzy...“

Koj żyje jeszcze nadzieją, że przecież Pietruszka jest chyba ciągle na wolności, że gdy go nie spotka na „punkcie kontrolnym“ w Nowej Soli, to wróci sam do Berlina i zawiadomi Kaisera. Pan Kaiser obiecał przecież uroczystość, że jakkolwiek nigdy żaden agent Gehlena nie został aresztowany w Polsce, to jednak gdyby nawet Kojowi powinęła się noga — on, Kaiser, ma wtedy sposoby na wydostanie go z więzienia. Mijają dni — Pietruszka już teraz chyba wie, że stało się nieszczęście, teraz już pewnie działa, aby ratować kompana!

Alfred Pietruszka istotnie już wie, że stało się nieszczęście. 28 sierpnia był u Olszewskiej, gdy nadjechała Erna Pietruszka z hłobową wieścią. Były rewizje u rodziny Kojów.

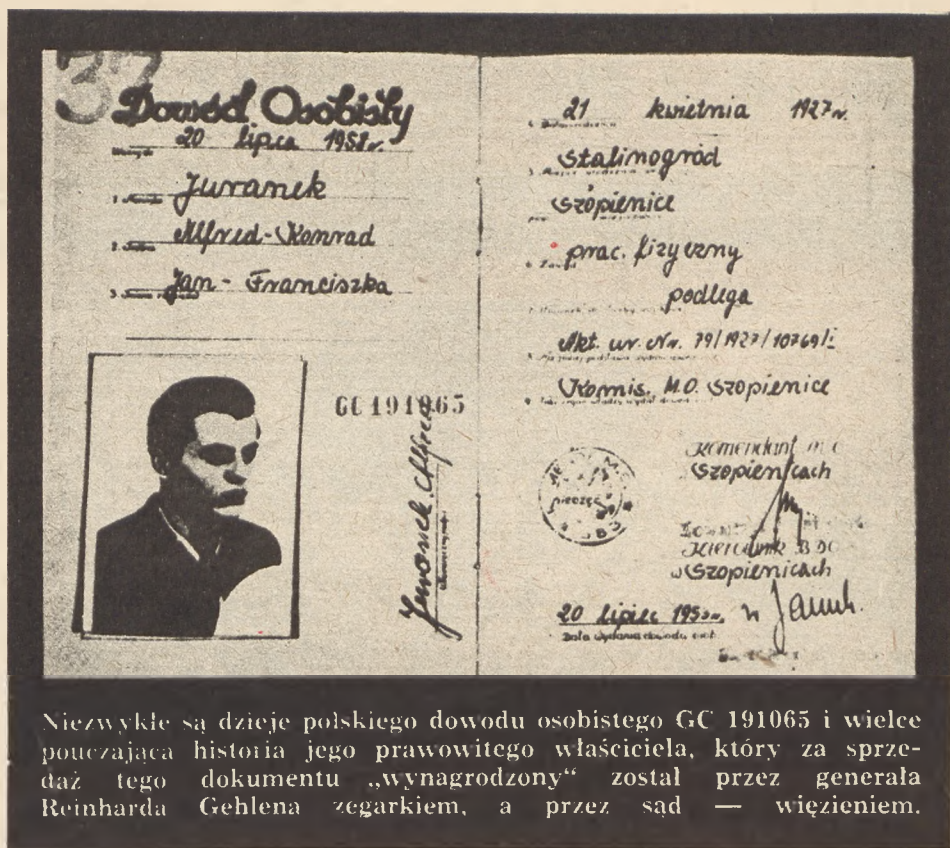
1 września o godzinie 20 Pietruszka zjawia się po raz ostatni u Olszewskiej. O godzinie 23.30 pożegnał się z nią, zapewniając raz jeszcze, że wróci już w mundurze Wehrmachtu. Rusza na umówione spotkanie do Nowej Soli. Przecież Koj nie zastano w domu podczas tych rewizji u jego rodziny. Cwana bestia, na pewno przyjedzie. A jeżeli nie? Kto by się tam przejmował! Odbierze od siostr Budzińskich swój ponton i rusza do Berlina. W Nowej Soli uspokaja jak może obie siostry Budzińskie, które nie mogły nie zauważyć jego zdenerwowania. Nie, nie — Koj nie przybywa. A więc teraz już nie ma na co czekać. Koj wpadł. Pietruszka idzie na dworzec kolejowy w Nowej Soli, obiecawszy uprzednio solennie siostrze Budzińskiej, że i do nich zawita w mundurze Wehrmachtu.

Na peronie tłum ludzi czeka na pociąg. Wreszcie wpada owiana parą lokomotywy, ciągnąca za sobą kilkanaście wagonów. Podróżni wsiadają, pocztarce w pośpiechu wrzucają worki do ambulansu pocztowego, wagon bagażowy przyjmuje ekspresowe przesyłki. I nagle, cóż to za dziwna scena! Do młodego mężczyzny, który ma właśnie wsiąść do wagonu, podchodzą jacyś dwaj inni i spokojnie biorą go pod ręce. On coś bełkoce, ale oni już go prowadzą ku wyjściu z peronów. Zastąpił, czy może stało się coś innego?

Nie mija minuta, a już wszyscy trzej są przy przegrodzie, dzielącej tereny kolejowe od reszty miasta. Dwaj mężczyźni spokojnie wręczają bileterowi peronówki, a jeden z nich mówi do Alfreda Pietruszki, gdyż on to właśnie jest przez nich wiedziony: „Proszę zwrócić bilet, obywatelu, on już wam nie będzie potrzebny. Dalej jedziecie z nami, samochodem...“

I wtedy Alfred Pietruszka, dorosły mężczyzna, wzbucha płaczem. Stało się to, co się musiało stać. Nerwowe napięcie ostatnich dni i tygodni znajduje teraz ujście. W samochodzie, który szybko odjeżdża sprzed dworca, wyciera sobie łzy rękawem i chce chwycić się ostatniej deski ratunku:

Reportaż „Dwaj stamtąd“ wejdzie do książki o walce z wywiadem Gehlena, która ukaże się wkrótce nakładem Państwowego Wydawnictwa „ISKRY“



Niezwykłe są dzieje polskiego dowodu osobistego GC 191065 i wielce pouczająca historia jego prawowitego właściciela, który za sprzedaż tego dokumentu „wynagrodzony“ został przez generała Reinharda Gehlena zegarkiem, a przez sąd — więzieniem.

— Puśćcie mnie, panowie, puśćcie mnie! Ja wam tu przyprowadzę samego Kaisera...

Sto milionów marek — to nie fraszka, Dość, by wykupić województwo całe. Lecz z duchem polskim nie igraszka, By go wykupić i Niemcy za małe*).

Sto milionów dolarów przeznaczonych przez Kongres Stanów Zjednoczonych na szpiegostwo i dywersję — to nie fraszka... Wiemy, że wiele z tego idzie do prywatnej kieszeni różnych agentów — ale też i wiele milionów odnajduje swe przeznaczenie według wskazań znacznych kongresmenów. 24 miliony dolarów rocznie daje rząd Stanów Zjednoczonych Gehlenowi. 5 razy spotykał się osobiście z Gehlenem potajemnie szef wywiadu USA — Allen Welsh Dulles, rodzony brat kierownika polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych, pięć razy konferowali obaj potajemnie w ciągu 21 miesięcy, które minęły do 1 października 1954 roku.

Koj i Pietruszka nie znaleźli w Polsce ani sławy, ani fortuny. Sprowadzili nieszczęście na kilka śląskich domów: 132 i pół roku spędzą w więzieniu łącznie ci wszyscy, którzy uwierzyli w mit nietykalności Gehlena. Nie zobaczą nigdy w mundurach zaborczej armii ani Koję, ani Pietruszki. Nie ujrzą nigdy ich obu, gdyż skazani zostali na najwyższy wymiar kary.

Wyzbądźmy się jednak złudzeń, że sprawa „Reinhard Gehlen przeciw Polsce Ludowej“ została zakończona.

Może właśnie teraz zajmująca się wyłącznie wywiadem przeciw naszemu krajowi gehlenowska „Filia Dalekiego Wywiadu“ zawiadamia z zachodniego Berlina centralę „Dalekiego Wywiadu“ w Augsburgu, iż przetrzymała nowych agentów do Polski? Ludzie, którzy rozegrali kolejną potyczkę z generałem Gehlenem w Polsce, twierdzą, że nie liczący się absolutnie z życiem swych agentów i opierający się na kryminalistach wywiad gehlenowski nie zaprzestanie, po otrzymanych cięgach, działań przeciw Polsce. Wręcz odwrotnie — należy oczekiwać, że będą one wzmożone, ale też i Polacy gotowi są do dalszej obrony swego kraju przed brudnymi łapami wysłanników „kancelrza agresji“.

Naród, który dopiero przed dziesięć laty zerwał pęta niewoli hitlerów i gehlenów, wie już, co niesie adenauerowski wywiad naszemu krajowi. Obywatele pracujący przy pługu czy obrabiarce, przy biurku czy w laboratorium, muszą mieć przed oczyma słowa, zaczerpnięte z bardzo starej książki. Słowa te napisane zostały 28 kwietnia 1384 roku w Prudniku, właśnie w tym mieście, gdzie gehlenowski agent ściągnął nieszczęście na Elżbietę Stokłosę. Wtedy, przed blisko sześciu wiekami, radzili tam przedstawiciele 26 miast polskich nad walką z szerzącym się rozbojem na drogach. Postanowili przestrzec wszystkich, by „tych złych ludzi nie brali w dom, ani karmili ich, ani poili, ani żywili ich koni, ani nie zasilali ich kołnami, zbroją czy pieniądzem...“

* Wiersz Konstantego Damrota, napisany w odpowiedzi na uchwalenie przez sejm pruski w roku 1866 stu milionów marek na wykup ziemi z rąk Polaków, w ramach tak zwanej kolonizacji. Cytuję z książki Jerzego Ballabana „Świt nad Opolszczyzną“, który zaczerpnął ją z pracy M. Tobiasza „Pionierzy odrodzenia narodowego i politycznego na Śląsku (1763—1914).“

DON LUPE MISTRZ LINII I KOMPONOWANIA

Napisał specjalnie dla „Świata“ Ignacio Marquez Rodiles



Jose Guadalupe Posada — „Wybryki natury“



Jose Guadalupe Posada — „Rozstrzelanie chłopów rewolucjonistów“

BYL średniego wzrostu, przyśladzisty, śniady, miał grube rysy znamionujące uparty i silny charakter — nie znający zmęczenia robotnik, a zarazem wielki artysta. Uprawiał nie tylko swoje rzemiosło rytownika, pracował także jako cieśla i murarz. Pochodził z ludu, dobrze znał jego smutki i radości, jego ból i pragnienia.

Urodził się Posada w roku 1852 w Aguascalientes — prowincjonalnym miasteczku w środkowej części Meksyku, w rodzinie chłopów. Wraz z nimi — od wczesnego dzieciństwa — pracował na roli. Gdy miał 36 lat powędrował do stolicy Meksyku, by poświęcić się zawodowi rytownika. W bramie starego domu w Mexico-City założył pracownię-warsztat. Przechodzący tamtędy ludzie obserwowali go w czasie pracy: pochylony nad arkuszami cynku rzeźbił na nich rylcem czy dłutem swe rysunki. Ta najskromniejsza ze skromnych pracownia wielkiego artysty, przycupnięta w sąsiedztwie Narodowej Akademii Sztuk Pięknych — instytucji szczytującej się 150-letnią działalnością i tradycją — ignorowana była przez oficjalnych, uznanych artystów, choć żaden z nich nie doczekał się nieśmiertelności tak jak Jose Guadalupe Posada.

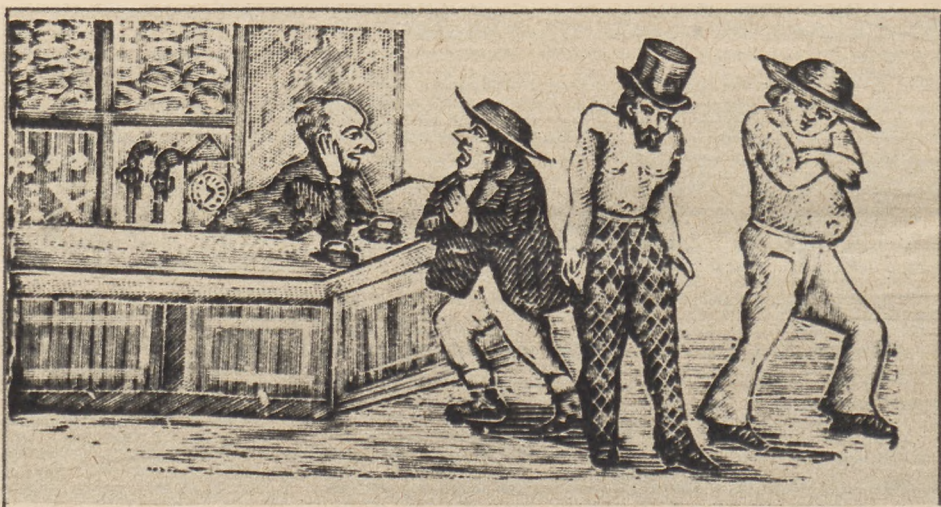
Posada — zwany popularnie „Don Lupe“ — był rzemieślnikiem-artystą, a równocześnie

nie — robotnikiem-litografem. Pracował w rozmaitych małych wydawnictwach aż do chwili, gdy został stałym współpracownikiem również niewielkiego wydawnictwa, należącego do Vanegas Arroyo. Tu pozostał aż do śmierci.

Przedsiębiorstwo Vanegas Arroyo popularne było dzięki temu, że wydawane tam tanie publikacje zawierały pieśni „Corridy“, kalendarze, legendy, żywoty świętych i bohaterów, że odpowiadały ludowym gustom i zamiłowaniom. Don Lupe był jednym z najwybitniejszych artystów pracujących w tym przedsiębiorstwie.

U Vanegas Arroyo pracował we wcześniejszym nieco okresie inny wielki artysta, również — tak jak Posada — grafik. Był to Manuel Manilla. Stał się on nauczycielem Posady. Pod jego wpływem ukształtował się w twórczości wielkiego artysty narodowy i ludowy charakter jego dzieł. Manilla umarł w roku 1890 i od tej chwili Jose Guadalupe Posada został pierwszym ilustratorem wydawnictwa. W ciągu 44 lat wytrwałej pracy niezmordowany Posada wykonał około 20 tysięcy rysunków. Zachowało się z nich tylko kilkaset. Reszta uległa zniszczeniu lub zaginęła.

Don Lupe ożenił się z kobietą tak jak i on prostą. Zrodzony z tego związku syn umarł dzieckiem. Nieszczęścia nie złamały Posady, sprawiły jednak, że cały zatopił się w swej ukochanej pracy. Mieszkał w



Manuel Manilla — „Dług“

NIEBEZPIECZNA PODRÓŻ NA ŚLĄSK...

...CZYLI JAK SOBIE MALY FRYCEK (WE FRANKFURCIE N. MENEM) WYOBRAŻA POLSKĘ, ALBO NIEZWYKLE PRZYGODY HRABIEGO, HRABINY I RZEZNIKA

Gefährliche Reise nach Schlesien

WYCHODZĄCY we Frankfurcie nad Menem tygodnik „Frankfurter Illustrierte“ sprawił swym czytelnikom nie lada ucztę duchową, rozpoczynając druk utworu „Niebezpieczna podróż na Śląsk“. Redakcja tego zachodnio-niemieckiego pisma nie zaznacza (przezornie), czy dzielo to jest reportażem, czy też tylko fikcją; niemniej jednak silnie się na bogatą dokumentację i wypowiedzianie najkompletniejszych bzdur najpoważniejszym tonem świadczy o wadze, jaką przywiązują do ogłupiania swych czytelników frankfurccy redaktorzy.

Rzecz opowiada o podróży z państwa adenauerowskiego na Śląsk, przedsięwziętej w roku 1950 przez 65-letniego hrabiego i zarazem pułkownika Wehrmachtu do jego dziedzicznych włości, gdzie pozostawił on skarb zakopany w przeróżnych schowkach.

Podróż tę, pan hrabia-pułkownik, czy — jak wolicie — pan pułkownik-hrabia odbył w towarzystwie wiernego druha, z zawodu rzeźnika, nazwiskiem Harden. Dla zachowania pełnej konspiracji Harden dostaje zezwolenie zwracania się do swego szefa po prostu po imieniu: „Hans“, albowiem — jak z całą powagą wyjaśnia tygodnik — „tam jest niebezpiecznie być tytułowanym „hrabią“ lub „pułkownikiem“ — szpicle są wszędzie“. Ostrożność na czasie, zwłaszcza że — jak wynika z tekstu — pan hrabia-pułkownik nie zna polskiego...

Jak się kończą naprawdę spaceru przez Nysę do Polski dla nieproszonych gości, mogą nasi Czytelnicy przeczytać na stronie 8 i 9 w bieżącym numerze. Ale obaj dzielni podróżnicy z „Frankfurter Illustrierte“ spacerują sobie do Polski i z powrotem bez trudu, rozgromiwszy uprzednio polską lu-

dową NRD i wyprowadziwszy w pole WOP. Krzepki staruszek, który jest zresztą inwalidą bez nogi, skacze przez granice jak zając. Oczywiście na Śląsku widzą obaj wędrowcy tylko same ugory; jedynie majątek hrabiego, a zarazem cel ich podróży — jest zagospodarowany. Okazuje się, że obecną panią na tych włościach jest polska hrabina Irma, córka przyrodniej siostry żony pułkownika. Bohaterska Polka, która opiekuje się mieniem wzruszonego do głębi tą uczynnością hrabiego-pułkownika, opowiada, że jej mama i ciocia (czyli żona pułkownika) zwały w r. 1945 do Niemiec, gdyż jako Niemki „nie miały tu żadnych szans“. Irma jest poza tym niezwykle postacią. Oto jej sylwetka: „Hrabina, Polka o przekonaniach narodowych, uznana bojowniczką ruchu oporu w warszawskim ghetcie. Kobieta, która Hitlera nienawidziła jak zarazy, ale jest z Niemcami spowinowacana i spokrewniona, córka niemieckiej matki, żyjącej dziś w Niemczech jako „Flüchtling“, i polskiego arystokraty, którego komuniści zmusili w Warszawie, aby dla nich pracował...“

Pułkownik Wehrmachtu oblecuje dzielnej Polce, iż zabierze ją ze sobą do Niemiec. „Wtedy ona całuje go w rękę. Jego słowa są dla niej, jako dla Polki, więcej warte, niż „Medal Piłsudskiego“, który rozdawany jest masowo przez komunistycznego premiera w Warszawie...“

Okazuje się więc, że są w Polsce ludzie ideowi, którym nie zależy na odznaczeniach, a już w szczególności na tak masowo teraz rozdawanym „Medalu Piłsudskiego“. Irma jest zresztą rozgoryczona na swych rodaków, gdyż żali się pułkownikowi Wehrmachtu: „Wstyd mi powiedzieć — ale jednak to powiem — czy są jeszcze

w ogóle przyzwoici, Polacy?“ I szybko dodaje odpowiedź na to zasadnicze pytanie... „I teraz, w pięć lat po zakończeniu wojny, mogę ci powiedzieć — przyzwoici Polacy tu nie zostali! Tylko najgorsi! Wyrzutki!“ Zupełnie słusznie! Przyzwoici Polacy pracują teraz dla „Freies Europa“, gdzie — jak Irma — całują po łapach pułkowników Wehrmachtu.

Wreszcie hrabia dokopał się do swych skarbów. Jest to biżuteria, a także akta własności dóbr na Śląsku. A to się stary ucieszył!

„Papiery! Hrabia nie posiada się ze szczęścia! Stracił dwa majątki na terenach okupowanych przez Polskę. Teraz może to zadokumentować. Oczywiście, jego przyjaciele w Szwabii, gdzie teraz zamieszkuje i tak zawsze mu wierzyli, jest on tam od dawna ważną osobistością polityczną. Ale ta biurokracja! O, niełatwo jest uporać się z biurokracją!...“

„Irma odprowadza do granicy obu państw różniaków. Ma ona dobre papiery, które winny przejść przez wszystkie kontrole. Ale na wszelki wypadek zabiera ona ze sobą dubeltówkę i niemiecki pistolet 08, który kiedyś kupiła sobie w Warszawie. A skoro już polscy komuniści koniecznie tego chcą — to dojdzie i do strzelaniny...“

Widocznie jednak komuniści polscy zlekli się tej sily ognia, gdyż dla podróży powrotną posłał gładko.

Tak to w Niemczech zachodnich pod stemkiem idiotyzmów przemycza się propagandę odwetową. Brednie z pierwszego odcinka cytowanego arcydzieła można by przytaczać do solidnej roboty — inaczej ominię mnie „Medal Piłsudskiego“...

nedznym domu obok targowiska, tak charakterystycznego dla miast meksykańskich. Tam właśnie wielki artysta szukał typów i postaci, aby wypełnić nimi swoje rysunki.

W pierwszym etapie twórczość Jose Guadalupe Posada związana jest ściśle z pracą artystyczną Manuel Manilla. Ich wspólną zasługą jest, że odżyła zapomniana już w tym okresie technika drzeworytnicza, którą zastąpiono powszechnie tańszą i praktyczniejszą techniką rytowania na cynku. Jednakże technika drzeworytnicza była bliższa charakterowi ludowej, narodowej sztuki Meksyku — kraju, w którym tradycja litografii była niezwykle silna.

Wydawnictwa firmy Vanegas Arroyo drukowane były na kolorowym papierze i sprzedawane po dwa lub trzy centy. Tekst był zawsze ilustrowany rysunkami Manilla lub Posady. Gdy umarł Manilla, Posada powoli odstępował w tych rysunkach od dawnej tradycji ściśle religijnej. Coraz odważniej ukazuje w ilustracjach nieszczęścia swego ludu, niesprawiedliwość społeczną. Dzięki temu wydawnictwa Vanegas Arroyo stają się coraz bardziej popularne w miastach i wsiach meksykańskich, mówią one bowiem o prawdzie codzienności i najistotniejszych sprawach ludu.

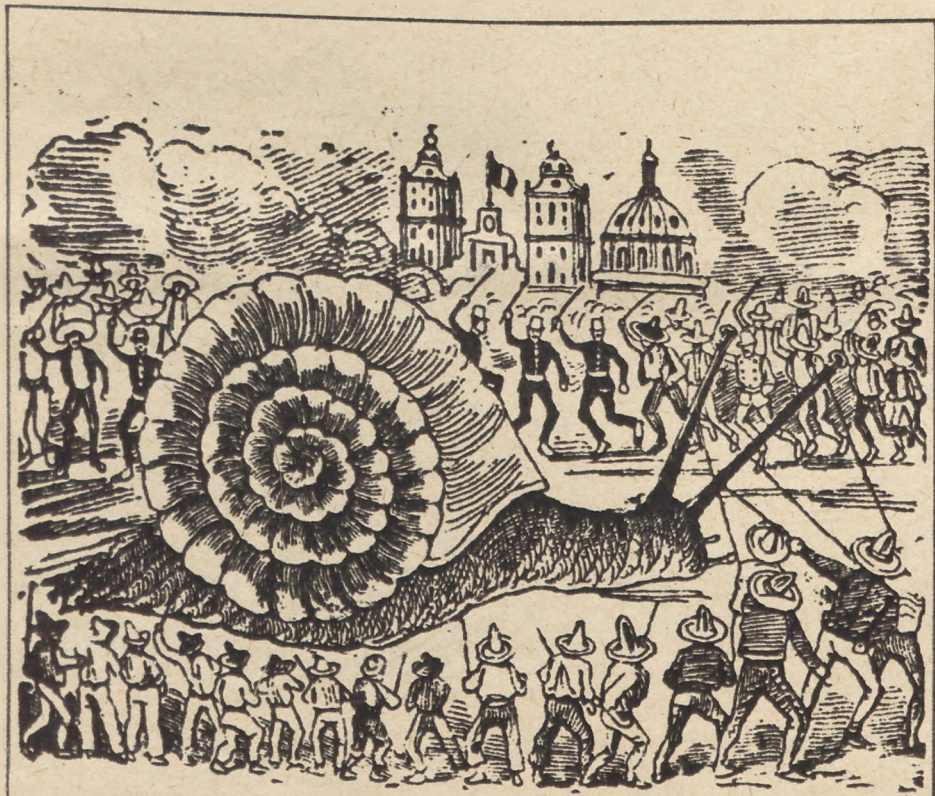
Mistrz linii i kompozycji — Jose Guadalupe Posada — tworzył postacie zawsze głęboko zrozumiałe, bliskie, niemalże rodzinne. Był też w swych rysunkach genialnym satyrykiem, godzącym w niesprawiedliwość społeczną,

ukazującym śmieszność współczesnego mu życia.

Miało to tym większe znaczenie, że współczesną artyście epokę charakteryzowały narastające walki polityczne, będące przygotowaniem mas ludowych do rewolucji demokratycznej i antyfeudalnej. Rysunki Posady nie pozostały w tej walce bez znaczenia. Rewolucję roku 1910 oddał wiernie w swych rysunkach. Zmarł w momencie, gdy rewolucja przeżywała swój kryzys. Kryzys ten nie zachwiał jednak wiary w przyszłość, w ostateczny triumf sprawy ludu.

Było to 20 stycznia 1913 roku. Śmierć dosięgła Posadę w chwili, gdy był jeszcze w pełni sił, ale kompletnie osamotniony. Minęło wiele godzin, zanim spostrzeżono, że nie żyje. Trzech starych przyjaciół Posady zawiadomiło o zgonie władze. W sporządzonym potem akcie zejścia stwierdza się, że „tylko jeden z nich umiał czytać”. Przyjaciele zanieśli zwłoki na stary cmentarz, gdzie pochowano go w kwaterze najbiedniejszych.

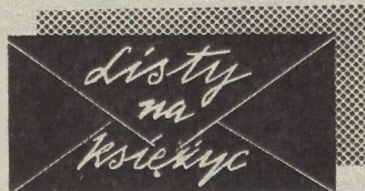
W kilka lat później wszystkie prochy z tej kwatery ekshumowano, by zsyłać je do wspólnej mogiły. Nikt dziś nie wie, gdzie spoczywają kości wielkiego artysty. Jose Guadalupe Posada nie ma nawet nagrobka... Ale był, jest i pozostanie jednym z najwybitniejszych artystów, jakich wydał lud meksykański, i na pewno najlepszym rytownikiem-grafikiem w całej historii tego ludu.



Jose Guadalupe Posada — „Rząd pracuje jak ślimak”



Jose Guadalupe Posada — „Handlarze”



GDY FELCZER MÓZGI KRAJE

JULIAN STAWIŃSKI

OBSEUGA zagraniczna dziennika składa się zwykle z korespondencji, depesz i komentarza. Nim jednak do nich przyjdę, chciałbym sięgnąć po krótkie wspomnienie.

Dawano pokaz filmu „Zagadnienie rosyjskie”. „Owszem — powiedział ktoś z obecnych — tylko amerykańska redakcja źle jest przedstawiona”. Spytałem owego krytyka, czy był kiedyś w Ameryce. Nie — okazało się — nigdy. Ale swego jest pewien. Na próżno dowodziłem, że przed tygodniem dopiero wróciłem z New Yorku, że w ciągu dwóch lat w USA oglądałem sporo redakcji i ręczę, że film jest jakby żywcem kręcony — tam na miejscu. „Musiał pan źle widzieć — odparł pogardliwie. — Bo ja wiem na pewno: dużo o tym czytałem”. Nie dał się przekonać. On czytał, a ja „tylko” widziałem. Taka bywa potęga słowa drukowanego.

Bywa, ale nie zawsze. Nie jestem pewien, czy wpływ równie potężny przypisać można obrazom Ameryki, Francji, Niemiec itd., jakie zjawiają się na łamach naszej prasy. Wielu czytelników — a nie lekceważmy ich liczby — ma do nich podobny stosunek, co ów krutky filmowy do moich wiadomości: ty wiesz swoje, ja swoje.

Czyja to wina? Przede wszystkim zawinił tuż my, dziennikarze. Zamiast bowiem krótkich, treściwych depesz, zwięzłego komentarza i przejrzystych a żywych korespondencji, częstujemy publiczność jakąś przeżutą papką bezbarwną i mdłą.

Każde z naszych pism, większych i mniejszych, ma cały sztab korespondentów rozsianych po kraju: fabrycznych i wiejskich, stałych i dorywczych, fachowców i amatorów. Natomiast korespondentów zagranicznych mamy niewielu. A szkoda.

W czasach, gdy zabkowały pierwsze pisma polskie, „Gazeta Warszawska” i „Kurier”, kiedy w „Magazynie rzeczy ciekawych”, „Astrechu” i „Tygodnikach Wileńskich” pojawił się dział „Ze świata”, czy „Dzieje współczesne”, redaktorzy czerpali z drugiej ręki, ale już wtedy doceniali znaczenie tego, co mówi naoczny świadek odległych wydarzeń.

W wielu wypadkach istnieją, rzecz jasna, nieprzezwyciężone przeszkody. Jeśli rząd USA tak wstydzi się tego co robi, że korespondentom polskim zezwala poruszać się tylko po kawałku Broadwayu w New Yorku, gdzie miesi się sto kin i ze dwieście knajp, to rzeczywiście szkoda pieniędzy na wyjazd. Lecz Stany Zjednoczone nie są jedynym ciekawym krajem na świecie. Sporo jest miejsc nie bronionych pancerną kurtyną, a więc dla dziennikarza dostępnym. Już nie mówiąc o najbliższym sąsiedztwie.

A raczej właśnie mówiąc, i to bardzo głośno. Bo tak na dobrą sprawę z czytania naszej prasy można by przypuścić, że wszędzie coś się dzieje, tylko nie w krajach demokratycznych. Co najwyżej jakieś urzędowe obchody. Wyraźnie czujemy brak statych korespondentów, którzy wielokrotnie i barwne życie tych krajów ukazywałyby z bezpośrednich wrażeń, nie zaś na podstawie statystyk, oficjalnych — sztywnych siłą rzeczy — komunikatów, albo starannych, lecz nudnych wypracowań urzędników ambasad.

Brak korespondencji bezskutecznie próbujemy zastąpić depeszą. Słabość tego widać najlepiej w tych nielicznych momentach, gdy mamy wystąpienia specjalnych na wielkie międzynarodowe zdarzenia. Przypomnijmy sobie relacje Osmańczyka, Arskiego, Podkowińskiego z Moskwy, Berlina, Genewy; porównajmy to ze zwykłym serwisem depesz, a zobaczymy różnicę.

Ale poza takimi sporadycznymi wypadkami korespondent specjalny nie wyręczy statogo. A dla depesz próba w tym kierunku dała oplatane skutki. Zadaniem służby agencji jest podawać fakty. Wiemy, oczywiście, że wielkie agencje zachodnie obchodzą się z nimi często bezceremonialnie. Celuje w tym zwłaszcza amerykańska AP: przekręca, opuszcza, fałszuje, nawet zmyśla. Zasadę jednak zawsze respektuje. U nas odwrotnie. Serwis telegraficzny zawiera uczciwą prawdę, ma jednak postać nie depesz, lecz matych, dość niezadarnych artykułków, naszpikowanych cudzysłowami. Jakby ich autor bardzo poważnie wątpił, czy redakcja w kraju rozumie, co wart jest „rząd” Adenauera, „demokrata” McCarra, „republikanin” McCarthy i „pokojowiec” Dulles.

Co gorsza, serwis nasz opiera swoją pracę głównie na wertowaniu gazet. Pamiętam, jak na próżno usiłowałem ongiś skłonić nowojorskiego przedstawiciela PAP, zdolnego dziennikarza. Był ze 3 dni w tygodniu spędzał w Waszyngtonie. Miałby dostęp na galerię prasową w kongresie, na liczne konferencje i do klubu prasy, gdzie zbiera się elita publicystyki USA, ogiadałby z bliska wielki kocioł, w którym wywarzano kolejne posunięcia i fazy amerykańskiej polityki. Nic z tego. „Korespondent” nie chciał. Wolął swoje wyściagi z dzienników.

Na tle łącznej namiastki korespondencji i depesz kwitnie nasz komentarz. Mało kwitnie — pełni się bujnie, zarastając trzy czwarte działu zagranicznego. Na tym jednak koniec. Ilość rzadko kiedy przechodzi tu w jakość. Mechanizm produkcji jest prosty. Bierze się jakiś fakt, przypina do siodła wielkiej polityki i po chwili już publicysta harcuje na wyleniałym rumaku oklepianych hasła. Np. bankier Dillon, ambasador USA we Francji, przyjechał do Paryża. Nazajutrz widzimy nagłówek: „Wall Street nad Sekwaną”. O banku Dillona, choć nie tak znanym jak Rotszyld, sporo da się powiedzieć. Niestety, komentator milczy. Za to szeroko wyjaśnia, że monopole francuskie, ubrew interesom narodu, zaprzędają ojczyznę Joanny d’Arc trustom amerykańskim, ale wielki naród, który zburzył Bastylę, walczy itd. Święta racja. Ale ja znamy na pamięć. Więc po co ją wciąż powtarzać? Czy dlatego, że komentator niewiele więcej umie poza repertuarem kilku zgranych pływ? Dla porządku zaznaczam, że przykład jest „syntetyczny”. Nie znajdziesz go. Czytelniku, w żadnym konkretnym numerze gazety. Mimo to znajdziesz go prawie wszędzie.

Źródłem zła jest błędny stosunek do znanej powszechnie prawdy, że najdrobniejsze nawet zjawisko tkwi korzeniami w wielkich dziejowych procesach. Opiszmy zjawisko dokładnie i klarownie, a Czytelnik sam już zauważy związki. Cóż, kiedy nasz „ekspert” tej metody nie lubi, bo wymaga ona znajomości szczegółów, czyli spora wiedzy. Woli zamiast tego wymachiwać korzeniem.

W prasie warszawskiej sporo się poprawiło, choć nie tyle, by spocząć na laurach. Ale zajrzyjmy do pism prowincjonalnych, zwłaszcza w mniejszych ośrodkach. Wystarczy, by trąbić na alarm!

Ulubionym tematem są Stany Zjednoczone. Piszą o nich tłumy. Można by sądzić, że pół Polski zęby zjadło za oceanem, badając amerykański styl życia. Podobnie się dzieje na innych odcinkach: spraw kolonialnych, europejskich, Bliskiego i Dalekiego Wschodu. Naturalnie żadna redakcja, nawet największa, nie może mieć znawców każdego zagadnienia. Ale nie wolno popadać w drugą ostateczność. Specjalizacja jest rzeczą konieczną, tak samo jak pogłębianie wiedzy. Najbardziej wzięty lekarz do końca życia znajduje czas na studia. Chirurg nie leczy chorób psychicznych, psychiatra nie amputuje nóg. A już w żadnym razie na drugim roku studiów. Dlaczego więc dziennikarz, gdy zdobył złote ostrogi którejs tam „kategorii”, miałby tym samym raz na zawsze stać się wszytkowiedzem, jak żartobliwie mówił Leleweł...

Nam, dziennikarzom, nikt nie nadadł wysokiego tytułu inżynierów dusz ludzkich. Mimo to, chcąc czy nie chcąc, uprawiamy ten zawód, na dobre i na złe. A wszędzie na tym polu partactwo może mieć skutki, o jakich się redaktorom nie śniło. Jeśli felczer obcina palec, bierze wielką odpowiedzialność. Cóż dopiero, kiedy kraje mózg.

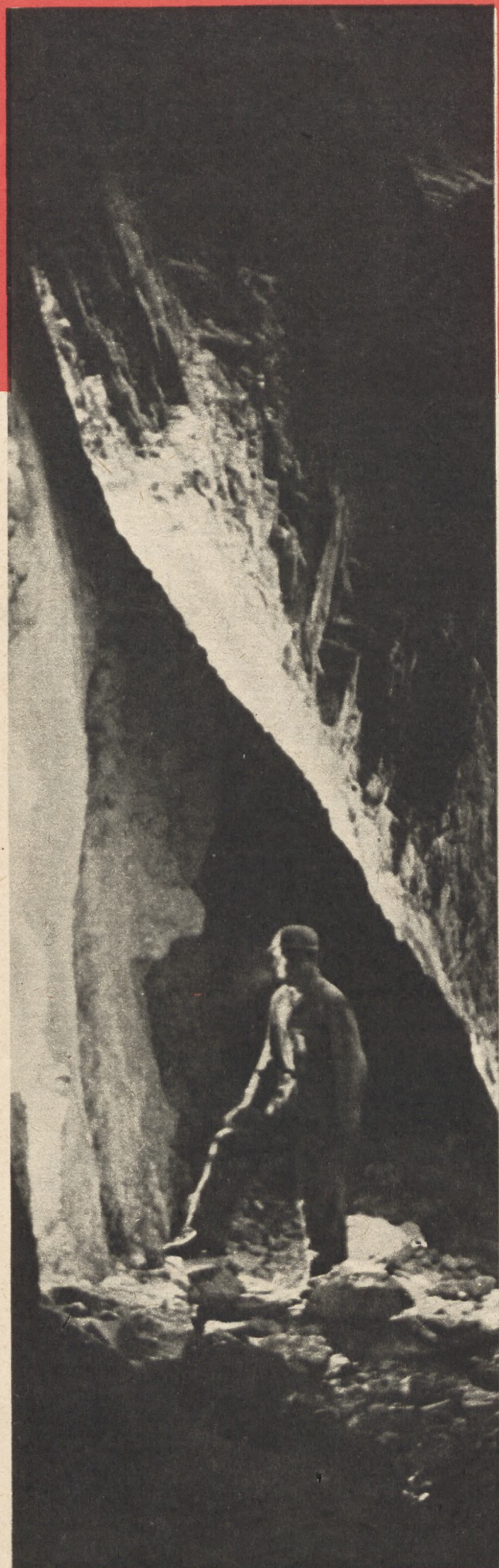
GROTOŁAZY

Zdjęcia: R. GRADZIŃSKI i M. GROSWIRTH

Opracował JERZY CISZEWSKI



Tak wygląda schematyczny planik Groty. Dla orientacji podajemy, że Sala Gotycka znajduje się 600 m, a Biwak 1200 m od wejścia.



Przed Wami otwiera się podziemny korytarz. W świetle lampek wkraczamy w głąb jaskini. Te korytarze i komnaty rzeźbiła woda przez tysiące lat. W naszej wędrówce nieraz zatrzymamy się, aby podziwiać ich piękno.

Posłuchajcie kiedy w pasterskim szalasie albo w zadymionej watrze (oczywiście nie tej na Krupówkach) góralskich gawęd i opowieści o tajemniczych, olbrzymich, tatrzańskich jaskiniach i zbojnikach, którzy z nich wyrasali na kupców i panów.

Podhalański gawędziarz fantazjować oczywiście będzie o skarbach ukrytych pod ziemią i o „siłach nieczystych”, które tych skarbów bronią przed niepowołanymi.

Ze takie jaskinie i groty istnieją w Tatrach — od dawna nie jest już tajemnicą dla naszych naukowców. Ale jak przezwyciężyć wszystkie trudności, które na drodze śmiałkom postawiła Natura? Jak przebrnąć tajemnicze podziemne labirynty? Jak pokonać „nieczyste siły”? Jak dostać się tam, gdzie stopa ludzka nie stanęła od wieków?

Jeden człowiek dokonać by tego nie mógł. To jasne. Ale zespół przyjaciół, zamilowanych w takich odkrywczych podziemnych wędrówkach młodych naukowców, a zarazem dobrych taterników — już od kilku lat penetruje wszystkie pieczary, groty i jaskinie na terenie Polski.

„Grotołazy”, członkowie sekcji taternictwa jaskiniowego ZG PTTK, mogą poszczycić się dokonaniem wielkich wypraw do Groty Zimnej (Dolina Kościeliska). Ostatnia wyprawa do tej największej w Polsce jaskini zamknęła cykl kilkuletniej z tą grota „walki”. Jaskinia jest już odkryta do końca i sięga w głąb ziemi blisko 3 km (2850 m).



A więc idziemy. Na głowach mamy helmy, które chronią nas przed lawinami drobnych kamieni. Gumowe buty dadzą się, gdy będziemy brnąć przez podziemne gliniaste bajory i jeziorka. W ciężkich warunkach podziemnej wędrówki sprawą zasadniczej wagi jest szybki, sprawny transport sprzętu potrzebnego wyprawie. Sprzęt (wagi 350 kg), zapakowany w specjalnie ponumerowane worki, musimy przenieść na miejsce biwaku bez szwanku.



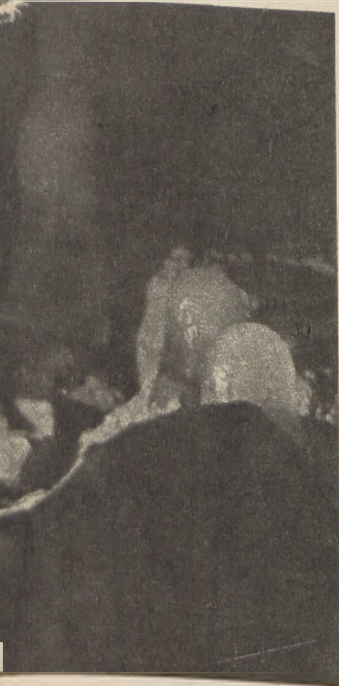
W głębi Groty założyliśmy na poprzedniej wyprawie biwak. Teraz musimy poprawić naszą „chatkę”. Ściany i dach obijamy ceratą, chroniącą przed wilgocią. Ta chatka teraz będzie naszą bazą w ataku na Grota.



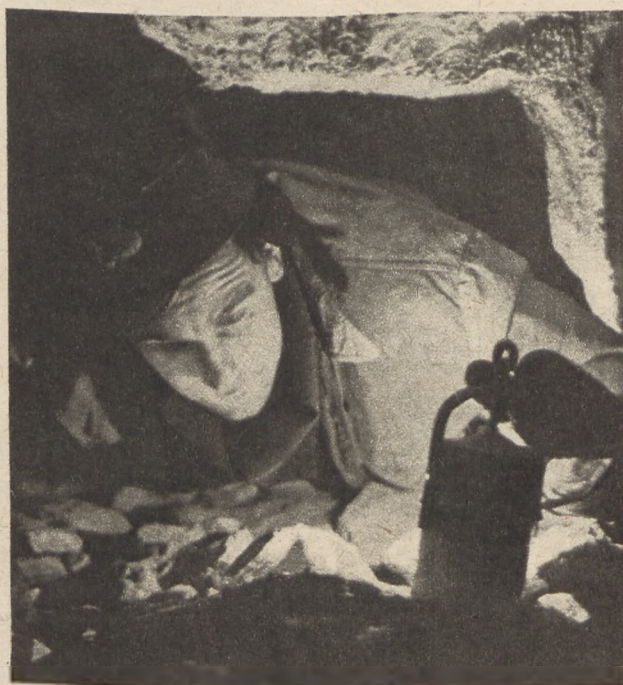
Tatrzańskie jaskinie kryją prawdziwe cuda natury. Sopole lodu — zwane przez „grotołazów” — chłopaki ściana ścieka na kamienie woda kropla za kroplą, jak na drożdżach. Cudowne są również lano



Trzeba zbadać każdą szczelinę i skalny załom. Może tamtędy prowadzi dalsza droga w głąb Groty? Wspinaczka po oślizgłych i kruchych skalach nie jest łatwa. Lina asekuracyjna chroni przed upadkiem. W Grocie są kilkudziesięciometrowej wysokości „kominy”, które można pokonać tylko dzięki umiejętnościom wspinaczki.



Na drodze spotykamy stojące gdzieś pod sklepieniem albo ze ten sposób „chłopki” rośnie lodowe kwiaty i girlandy.



Grota broni się przed intruzami. Przejść przez taką szczelinę, i to jeszcze ze sprzętem, to sztuka nie lada. W „Komorze z jeziorkiem” na dnie takiej właśnie szczeliny jest... woda, którą szybko nasiąka ubranie!



Co to może być? Liście? Owoce? Nie... to po prostu śpiące nietoperze. Przyleciały tu na zimowe leża. Podczas poprzedniej wyprawy do Groty założyliśmy kontrolne obrączki na nóżki kilku takich nietoperzy. W tym roku znaleźliśmy tu naszych starych znajomych! Nietoperze spały sobie spokojnie i nie obudził ich nawet zapach... gotowanego bigosu.

Jeziorka przebywaliśmy w małych gumowych łódeczkach. Taka podziemna żegluga i transport sprzętu odbywa się z zachowaniem wszelkich ostrożności. Do badania tych tajemniczych jeziorek posiadaliśmy również specjalne gumowe skafandry. Tylko dzięki doskonałej organizacji wyprawy udało się nam odnieść zwycięstwo nad Grota Zimną!



MILIONERZY

(3)

JERZY JANICKI

Zdjęcia: W. SŁAWNY

Z LISTÓW DO PANA LORKIEWICZA

NA PASKU kratkowanego papieru przyklejono dwa zielone znaczki po 30 groszy na odpowiedź, a pod spodem skreślono ołówkiem taki list:

„Lasocin, dnia 26 listopada. Niech Będzie Pochwalony Jezus Chrystus. Spodziewamy się, że nam odpowiecie na wieki wieków amen. Ośmielam się skreślić do pana parę słów. Czytając Gromadę doczytałem się pana urywka doczytałem się, że potrzebujecie jeszcze 6 rodzin i kowala. Więc chętnie to przeczytałem i postanowiłem napisać do Was tę parę słów porozmawialiśmy wspólnie ze żoną aby napisać do Was i chcielibyśmy właśnie do takiej spółdzielni wstąpić... To jak potrzebujecie to możebym przyjechał do was. Narazie kończę tę parę słów i proszę kochanego pana Lorkiewicza niech pan się porozumie z Waszym przewodniczącym i odpiszcie mi list to ja przyjadę. Dowiedzenia. Proszę o prędką odpis — Walczyk Wacław”.

Listów takich widziałem w Marszowicach — równo osiemdziesiąt. Pisane z różnych województw, pisane ołówkiem i piórem, z setkami błędów, bez przecinków i kropek, co zgodne jest ze starą chłopską modą i właściwe ludziom używającym pióra raz na dziesiątki lat, ale co w tym konkretnym wypadku wydało mi się jakby uzewnętrznionym wyrazem pośpiechu, z jakim autorzy wypowiadali swe myśli. Zdawało się, że pragnęli swą prośbę wypowiedzieć jednym tchem, jak najszybciej, nie tracąc czasu na kończenie zdań. Do jednych listów przyklejano znaczki na odpowiedź, w innych zapomniano w ogóle o podaniu swego adresu, jakby to było zrozumiałe i jasne dla wszystkich, że skoro jest taki, co mu ciężko i los swój zamierza polepszyć, to może być właśnie ten jeden, w tej właśnie wsi, w tej właśnie gromadzie.

Adam Lorkiewicz, do którego cała ta korespondencja w ciągu grudnia nadeszła, powiedział mi potrząsając całą tą paką:

— Ja bym, cholera, zebrał do dużej izby reakcjonistów, ilu ich tam wszystkich jeszcze jest, co mówią, że ludzie w Polsce nie chcą do spółdzielni wstępować, i pokazałbym im te listy. Macie — patrzcie, cholery!

Tu rzecz idzie o forszę! Dlatego miny są takie groźne. Przewodniczący spółdzielni Marszowice — Kulaga musi ściągnąć przed bilansem wszystkie długi.

Po raz pierwszy od paru dni naszej znajomości widzę takim Lorkiewicza. Był cichy, skromny, ukryty za spuszczone rękawami starego kapelusza. Kiedyśmy wieczorami gadali w zarządzie spółdzielni, nie pytany nie wtrącał się. Czasami wstawał ze stołka i omijając wyciągnięte gumki siedzących kierował się do żelaznego piecyka, aby gazetą zagarnąć ognia do papierosa. Widziałem wtedy, że idąc ciągnął za sobą prawą nogę, jakby uwiązano do niej niewidzialny ciężar. Okazało się potem, że mu tę nogę zranił granat, kiedy w 46-tym będąc ormowcem brał udział w likwidacji bandy niejakiego Babinicza pod Częstochową. Już wówczas pomyślałem sobie, że Lorkiewicz nie jest takim potulnym, ugrzecznionym chłopiną, na jakiego wyglądał. Natura ludzka potrafi inaczej wyrzeźbić duszę i inaczej postać człowieka. Bywa, że w oczach wyczytać można cały kształt ludzkiego charakteru, bywa jednak, że jest to obraz pozorny. Tak, zdaje się, właśnie rzecz miała się z Lorkiewiczem. Kiedy siedział na swym stołku, przytakiwał usłużnie głową, gdy sam mówił, zwracał się całą twarzą do słuchaczy, mówił cicho, jakby czymś zalekniony. A przecież ten człowiek brał udział w obławie, która rozprawiła się wówczas z 250 bandytami; on sam sprowadził na nich w nocy milicję, kiedy faszyści pokładli się na nocleg koło leśnego basenu, w którym hrabia Potocki hodował pszczoły. Od tego czasu kuleje na prawą nogę. To jest ciekawa rzecz. Człowiek, który nie bał się wśród nocy iść po obławę i atakować uzbrojony po zęby oddział, jest ugrzeczniony, niemal kłaniający się, chętny do usług wobec przewodniczącego i wobec innych chłopów. Może jeszcze się nie nauczył wyprostowywać karku; przez czterdzieści prawie lat panowie i bieda uczyli go głowę trzymać inaczej, pokornie. I oto okazuje się, że gdzieś tam wewnątrz mieszka drugi Lorkiewicz, hardy, rogaty. Ten sam właśnie, co siedzi na bandytów, a teraz — „ech, zebrałbym tych wszystkich reakcjonistów...”

To właśnie przy okazji tych listów. Bo w listach tych jak w zwierciadle przyjrzyć się można polskiej wsi. Bo mówiły całą prawdę i wściekłość brała na samą myśl, że jeszcze u nas tej prawdy przeczą. „...Macie, czytacie”.

Cóż to za listy i dlaczego właśnie kierowano je do Lorkiewicza?

Kiedy upadła założona pod Buskiem spółdzielnia, bo ludzie robili tylko na swoim, ciężko się zrobiło w domu Lorkiewiczów. W powiecie poradzono mu wyjazd na Ziemię Odzyskaną. Pojechał do Wrocławia, tam kuzyn niewiele namyślając się doradził: „Co będziesz, Adasiu, długo szukał, masz tu niedaleko pod Środą Śląską spółdzielnię. Jedź do niej”. Jeśli pod Środą i jeśli wielka, to pewnie Wilczków, w której gospodaruje Sendek, posłał na Sejm. To już rzecz znana w całym kraju. Ale okazało się, że jest w tym samym powiecie i druga spółdzielnia, kto wie czy gorsza od Sendkowej: Marszowice. Lorkiewicz pojechał tam, potrzebowali akurat ogrodnika. Obiecał za parę tygodni przybyć. Ułatwiono mu w Busku wyjazd. Naprzed zapakował Lorkiewicz trochę gratów, sześć kur i worek mąki i wsiadł z tym na pociąg. Po żonę i dzieci wrócić miał później. Nowe życie, do którego jechał za Wrocław, oddzielało od starego całe dziewięć dni. To była ta granica starego z nowym. Dziewięć dni podróży. Był styczeń, 1954 rok. Mróz dochodził do trzydziestu stopni. W nocy, w towarowym wagonie wydawało się czasami, że nie ma już czym oddychać. Powietrze było ostre i zatykało gardło jak haust spirytusu. A pociąg włókł się i godzinami wystawał na bocznicach. Kurom przymarzły łapy do podłogi, aż któreś nocy pazury odpadły, jakby były dotąd przyklejone klejem. Lorkiewicz wysunął się ze swego wagonu i zaszedł do zawiadowcy stacji. Było to gdzieś przed Krakowem. Niechby przytrzymał jego wagon do jakiegoś szybszego pociągu. Kolejarz odparł po namyśle, że taka rzecz jest do zrobienia, ale każdy do rozumie, że musi kosztować. Lorkiewicz rozumiał; tak się akurat dobrze złożyło, że było w bufecie wino „Gryf”, więc wypili butelkę. Potem Lorkiewicz wyciągnął z kie-



To właśnie do Lorkiewicza nadeszło z całej Polski ponad 80 listów. Niektóre z nich radzimy dziś przeczytać.

szeni 50 złotych, w związku z czym zostało mu w majątku 6. Zawiadowca wziął zielony papier i poszedł interes realizować dalej. A że akurat kończyła mu się służba, a służba kolejarska to rzecz nielekka, bo trwa dwadzieścia cztery godziny, więc poszedł utrudzony zawiadowca spać i spało mu się dobrze i smacznie, jak to po winie.

Nad ranem pociąg ruszył, a na następnej stacji inny zawiadowca zgodził się bez wstępnych manipulacji załadować bagaż Lorkiewicza do innego składu jadącego wprost na Wrocław. Kolejarze pomogli mu przenieść toboły, wręczył im za to swoje sześć złotych i w kieszeni nie pozostał nawet jeden miedziak. Mógłby sprzedać kurę, ale kto kupi kurę bez łap? Usnął więc w nowym wagonie, a kiedy zbudził się wśród nocy, nie usłyszał stukotu kół. Wyjrzał. Stali wciąż na tej samej stacji. Wyskoczył na peron — jego wagon stał sam. Pociąg odszedł, znów zaszła jakaś pomyłka. Wtedy, co tu ukrywać, Lorkiewicz poczuł, że mu wilgotnieją oczy. Och, jak opornie szła ta podróż. Jakby się wszystko sprysnęło przeciw tej jego przeprowadzce. Jakby cały świat, wszystkie przedmioty ucałyły ogrodnika za potę jesionki i ciągnęły: dokąd chłopie jedziesz, po diabla rzucasz ziemię, na której na świat przyszedłeś, patrz, jeszcze czas, zostań, zostań! O nie, Adam Lorkiewicz był upartym człowiekiem. Po dziewięciu dniach takiej jazdy zawiadł do stacji Wrocław-Brochów. Tu powiedziano, że postać może nawet parę dni. Gdyby nie brak gotówki mógłby Lorkiewicz pojechać dwoma tramwajami (pamiętał to dobrze), potem pociągiem do Leśnicy, a stamtąd wszystkiego cztery kilometry piechotą do Marszowic. Ale dwa tramwaje to przecież dziewięćdziesiąt groszy. Kasjer pożyczył mu 50 złotych pod zastaw jesionki. Pod wieczór zawiadł się Lorkiewicz w Marszowicach, zleźnięty, z brodą jak zesłaniec, wygłodzony. Przewodniczący Kulaga wręczył mu sto złotych, obudził traktorzystę Olejnika, do ciągnika dołączono przyczepę, dwóch chłopów wdrapało się na nią wraz z Lorkiewiczem i wyjechali do Brochowa po bagaż swego nowego ogrodnika. Wykupił płaszcz, za resztę nabył pół litra i tocząc się na drodze do Marszowic opróżnił tę pierwszą spólną butelkę, dobrą na mróz i na szczęśliwy wyjazd.

Po tygodniu zjechała Lorkiewiczowa z dziećmi już na ciepłe mieszkanie. Ba, już prosiak kwiczał w chlewiku.

A po paru miesiącach napisał Lorkiewicz do sąsiada list o swym nowym życiu. O czym pisał? Czy to jeden list wszystko zmieści? Więc o wszystkim po trochu. Że tu dniówka w ubiegłym roku była 40 złotych, że mają swoją działkę i akurat zaszlachtowali świnie, co „ważyła półtora metra”, że w spółdzielni on, Lorkiewicz prowadzi ogród, a same warzywa dadzą dochodu 300 tysięcy złotych rocznie, że jest 60 krów, czterysta owiec, że przewodniczący Kulaga to człowiek śmiały jak rzadko spotkać, bo na przykład zamyśla zalać wodą 40 hektarów i uprawiać tam ryż niby Chińczyk, że mają Marszowice swoje własne cztery traktory, nawet samochód ciężarowy. A jak mieszkają!

Czekał potem na odpowiedź od sąsiadów, ale odpowiedź nie nadchodziła. Sąsiad, widać oszołomiony listem, posłał go do gazety. List w całości wydrukowała „Gromada-Rolnik Polski”.

I oto zaczął listonosz znosić całe paki listów. Spod Lublina i Bydgoszczy, spod Kielc i Warszawy. Pisywali, ponieważ donosił Lorkiewicz, że jest w Marszowicach miejsca jeszcze na sześć rodzin, a wśród wielu wspaniałości ten jest brak, że nie ma kowala.

Cała ta korespondencja złożona jest w zielonej teczce zarządu spółdzielni. Jest to pouczająca i ciekawa lektura. We wszystkich listach zawarta jest ta sama prośba: przyjmijcie nas. We wszystkich streszczono w paru zdaniach swe życie i ze wszystkich wygląda jakaś pierwsza nieśmiała myśl o zmianie swego losu. Pierwsze rozważania o przewadze wspólnej gospodarki, wyrażone w słowach tak prostych, że nie potrafiłbym o nich sam powiedzieć; dlatego sięgam po niektóre z tych wypowiedzi.

„Panie Lorkiewicz — pisze Edward Lewek — doczytałem się w gazecie dużo ciekawych rzeczy które napisał i stego jestem zaciekawiony i piszę do was list byłbym chętny do was przyjechać tylko nie wiem czybym mógł dostać pracę o którą nie chodzi napisać że macie wszystko tylko wam brak dobrego kowala i mie właśnie o to chodzi kowalstwo lub ślusarkę. I teraz dalej czy macie narzędzia do tych robót które nadmieniam. Drugie mam rodzinę 4 dzieci i żonę i jakie warunki by były do życia i gdzie mieszkanie bym otrzymał i czy to jest spółdzielnia produkcyjna czy też jakieś innej nazwy ponieważ że ja posiadam 1 hektar ziemi



i warunki cieszakowe do rzycia. Ale gdy by to była prawda rze co wyście otrzymali mieszkanie tyle pomieszczeń i gotówkę i zborze i tłuszcz to gdyby to była szciera prawda to od razu jednego dnia bym jechał do was. Ale nie wiem czy to wy otrzymali do własnych rąk czy tylko na gazecie napisane to tego nie wiem więc piszę do was list i żebyście mogli otmisnąć.

Tak pisze jeden z osiemdziesięciu. „Ale gdyby to była prawda!” Mój Boże, a przecież Lorkiewicz wszystkiego nie opisał. aniby zmieścił, aniby potrafił. Gdyby to była prawda!

A znów Stanisław Stus nie wąpi o prawdzie listu, tylko wyklada swoje racje. Zastanawia się głośno, niech mu Lorkiewicz poradzi. Bo ma tylko hektar gruntu, a żonę niezbyt jakoś sporą do roboty. Pilsze, że „lepsza byłaby spółdzielnia. Tylko te moje wątpliwości, no i ten brak wolności to uwiązanie w spółdzielni. Wy drogi przyjacielu napiszcie ilu was członków rodziny wychodzi do pracy, aż zapewne kilkoro skoro tak się wam powodzi. U nas to jest zima śnieg i wielkie mrozy. Z wielkim szacunkiem Stus Stanisław”.

Powiada, że zapewne kilkoro Lorkiewiczów wychodzi do pracy. A tymczasem Lorkiewicz wychodzi sam, bo żona zajęta jest dziećmi. A przecież będzie miał chęba z 500 dniówek. Na Boże Narodzenie zabił drugiego świniaka.

Takie to są listy w zielonej teczce.

... To tam właśnie, którą prowadzi droga na drugą bazę, jeszcze w tym roku zbudowanych zostanie dziesięć nowych domków dla dziesięciu nadcawców listów do „kochanego pana Lorkiewicza”.

WIZYTY

Całe popołudnie tego dnia przeszło w nadzwyczaj gorącej atmosferze. Rozbił się istny garnek z interesantami. Naprzód przyjechali wielgachną ciężarówką trzej urzędnicy z Wrocławia. Kułaga dojrawszy ich uśmiechnął się po swojemu; potem mruknął:

— No, przyszły moje pieniądze.

I tu nieoczekiwanie dla nikogo napadł na siwego, eleganckiego pana, w smukłej jesionce, z wielką tęczką w dłoni. Tamci dwaj rzucili się spór rozstrzygać, ale na przybyśa lał się nieprzerwany strumień zarzutów Kułagi. Zdołałem się zorientować, że chodzi o jakieś 22 tysiące złotych, które siwy pan winien był spółdzielni. Tamten przyznawał, że jest dłużnikiem, ale sumę podawał niższą. To właśnie najbardziej podniecało Kułagę.

Chodziło o rzecz następującą. Na jesieni przyjęły Marszowice transport czterystu owiec radzieckich, które pod okiem Leszczyńskiego przejść miały okres kwarantanny. Paszę, którą wydatkowała spółdzielnia, Kułaga obliczał na 22 tysiące złotych. Centrala Hodołwi Zwierząt dotąd sumy tej nie wpłaciła.

Z pozostałych dwóch przybyśzów jeden występował w roli mediatora, drugi zaś przybył zaznajomić się z całą tą aferą, ponieważ właśnie przejmował od siwego pana jego obowiązki. Gdy powiedziano o tym Kuładze, przewodniczący bez namysłu wypalił:

— Niech pan od inżyniera Chuchrowskiego niczego nie przejmuje, dopóki on swoich spraw nie wyczyści. I znów rozgorzała sprzeczka: wypominano sobie

każdy kilogram lucerny, każdy burak, który dostali merynosy.

Tylko Piela siedział przy piecyku zupełnie spokojny.

— On z Kułagą nie wygra — wyjaśnił mi szeptem — o, nie tacy już tu byli, a dał im radę. Jak idzie o forsz, Kułaga nie daruje.

I nie darował. 22 tysiące wpłynąć mają niebawem na konto Marszowic. W chwilę po wyjeździe gości przybył Olejnik. Powrócił z drugiej bazy wcześniej niż zwykle: przestali młócić już o trzeciej, z braku światła w stodole. Była to niepocieszająca wiadomość, gdyż opóźniała znacznie całe zamknięcie bilansu, a co za tym idzie i zebranie obrachunkowe.

Scena z urzędnikami z Wrocławia jeszcze raz utwierdziła mnie w przekonaniu, że Kułaga jest wzorem prawdziwego przewodniczącego, jakiego mógłby sobie życzyć każdy reportażysta do każdego pozytywnego reportażu. Dzięki ogromnej energii, inicjatywie, wrodzonej inteligencji i sprytowi dawno już zdołał zawojować towarzyszy, z którymi przybył tu z Francji. Jeszcze szybciej poszło na miejscu z resztą chłopów. Raz przekonawszy się, że poczynania przewodniczącego prowadzą do ich osobistych korzyści, darzą go bezgranicznym zaufaniem. co w końcu doprowadziło do idealnego pozbycia się własnej inicjatywy u pozostałych członków spółdzielni. Jest oczywiście wygodną rzeczą zdjąć całą odpowiedzialność na grzbiecie jednego wypróbowanego człowieka. Tak już przyzwyczajono się w Marszowicach, że Kułaga jest w stanie rozstrzygnąć wszelkie kłopoty, że w końcu inne sprawy, nawet nie wchodzące w zakres bezpośredniej jego odpowiedzialności, czekają na jego rozstrzygnięcie. Kułaga sam się przyznał: „Kiedy wrócę wieczorem do domu, to mam w głowie sto myśli na raz i każda idzie w innym kierunku”. W ten prosty sposób przy pierwszorzędnym kierowaniu sprawami gospodarczymi, doszło do zaniedbania spraw młodzieży, do zupełnej pustki w życiu kulturalnym wsi.

Kiedy tak rozmyślałem, wszedł Sobczyk. Był jakoś bardziej niż dotąd ruchliwy i gadatliwy. Od razu zasiał do swych codziennych przepisywań dniówek. Zarzucił Lorkiewiczowi samowolne wpisanie sobie dniówki do wykazu. Ogrodnik niezbyt jakoś przejął się oskarżeniem. Odwrócił się do Wolskiego i palcami pstryknął się po gardle. Ach, więc to dlatego tak zmieniony wydał mi się Sobczyk, dotąd ledwo cedzący słowa! Popił zdziebko brygadzysta polowy, ale dziś nikt tym się nie przejął: i tak wiadomo, że to z okazji tego miliona.

Po chwili milczenia Sobczyk mruknął z kąta:

— Wzrok mam chory... Piszę i piszę, a nic na oczy nie widzę.

— To idź spać — odparł Kułaga.

I ten dzień dobiegał pomału końca. Coraz bliżej było do walnego zebrania, do dnia, w którym całe paki czerwonych, sztywnych setek powędrują do komódek Leszczyńskich, Lorkiewiczów, Kinów i Kurkowskich.

— Trzeba dać znać Gnurowej — przypomniał sobie Kułaga — że będziemy bili wieprzka.

Piela obliczał się z rozkoszą: to dopiero będzie święto. A jeszcze jeśli Wilkszyn przyłączy się do Marszowic, świetlica nie pomieści uczujących.

Zaproszono i nas na tę uroczystość.

Skorzystaliśmy z zaproszenia, o czym dowiedzieliście się z fotoreportażu Władysława Ślawnego.

KONIEC

ADOLF RUDNICKI

Niebieskie kartki

NA TEMAT FILMU POLSKIEGO

RÓWNO dziesięć lat temu na kilka dni przed Wielką nocą w Łodzi (która na zawsze przypadła mi do serca) pojechałem tramwajem na ulicę Narutowicza 90, gdzie wówczas gnieździł się filmowcy. Miałem ze sobą pierwszy, zdaje się, po wojnie — (wojna się jeszcze toczyła) — pełnometrzowy scenariusz filmowy pod tytułem *October*, mówiący o tym, co w ciągu sześciu lat stanowiło dumę Polski — o jej życiu podziemnym i bohaterstwie ludzi wziętych w tryby Gestapo.

W mieszkaniu Aleksandra Forda, który sprawował wówczas funkcję naczelnego dyrektora Filmu Polskiego, prócz gospodarza zastałem dalszych dwóch dyrektorów: Toeplitza i Denkierowskiego. Po ukończeniu czytania Ford ojcowiskim ruchem położył mi rękę na ramieniu i powiedział: Ja to będę robił. Moi słuchacze mieli żyć w oczach, więc sądzę, iż słowa te oznaczały tylko to, co znaczą, a nie na przykład:

Mój ty biedaku, nacierpiałeś się podczas okupacji, oduczyłeś się zupełnie pisać, już nie nie umiesz, nie opowiadaj nam o bohaterstwie uwięzionego chłopca, w twoich ustach brzmi to sucho jak wódr. Występujemy w imieniu armii wyzwoleniczej, w imieniu nowo formującego się rządu i państwa, jednej z jego instytucji, więc nie możemy oczywiście tego powiedzieć, co byśmy chcieli, nie chcemy zrażać sobe nikogo, nawet grafomanów, nie jesteśmy bez serca. Masz tutaj zaliczkę, kup sobie koszulę, spodnie, już zanadto świecisz tyłkiem, zyj sobie i jeśli masz ochotę spróbuj czasami coś napisać.

Potem wydawcy nieraz stosowali ten zabieg, dawali zaliczki na książki, które nigdy nie ujrzały światła dziennego — nie chcieli, by pisarze przymierali głodem.

Zdanie Forda może nie miało tego podtekstu, pomimo to, jak wiele innych w owych latach, i mój scenariusz powędrował na półkę. Nie od razu — żądano, bym wygotował coś, z czego dałoby się zrobić *drehbuch*, rozmawiano ze mną. Przez ten czas inni reżyserzy, wówczas jeszcze młodzi, dzisiaj już niemłodzi, choć obrosłszy w lata mało który z nich obrósł także w filmy — wyciągali ręce do dostarczającego przeze mnie skryptu. Mieli więcej danych do zrealizowania go, spędzili okupację w kraju, opisane przeze mnie rzeczy przechodziły na własnej skórze, mieli we krwi okupację, której nie można poznać z drugiej ręki, której atmosferę i detale zna tylko ten, kto tu był z nami, ale Ford, choć spędził okupację poza krajem, upart się. Nie oddał nikomu scenariusza, ale i sam go nie zrealizował; z tematyki okupacyjnej wybrał sobie potem coś, co bardziej mu uciskało duszę. Niedopuszczeni tymczasem zaopatrzili się w inne teksty; mówię tu szumnie w liczbie mnogiej zarówno o reżyserach, jak i o tekstach, w istocie jednak chodzi o bardzo drobną cyfrę wszystkich. Na usprawiedliwienie trzeba powiedzieć, iż Film Polski zaczynał z niczego, każdy apat, każdą lampę, każde pudełko taśmy musiał sprowadzać z zagranicy. Trudności techniczne rozgąszczonym systemie pótek.

W kilka lat potem reżyser teatralny Erwin Axer natrafisz w archiwum na mój scenariusz, zdumiony był jego włoskością. Jego zdanie brzmiało zbyt pochlebnie, bym je tu powtórzył. W kilka lat potem większość filmów polskich cechowały zapożyczenia z Włochów. Nie zazwyczaj jednak tego artykułu dla zaatakowania filmowców, iż nie potrafili odczytać scenariusza, a potrafili kopiować (jeśli nie potrafili odczytać scenariusza, jaką wobec tego mają legitymację na reżyserów?). Scenariusz jest zaledwie glina (ważna, ale tylko glina). Włoskie filmy, które stanowią rewelację naszych dni, to nie tylko scenariusze, to krótko mówiąc, Włochy. To, że Axer w moim scenariuszu zobaczył Włochów, zawiądzam prawdopodobnie temu, że film włoski zdążył tymczasem podbić świat i wpłynąć na widzenie ludzi. Bez włoskich filmów *October* nie byłby włoski. Ci, którzy sądzili, że chcą tylko upiec własną pieczeń, niech się uspokoją i czytają dalej.

W literaturze bariery językowe są wciąż ogromne, ale film prawie ich nie zna. Dobrego filmu nie zabiją marnie, okaleczone, uprzedmiotowiające napisy u dołu klatki; nawet wycięciem kilku scen nie można zabić dobrze urodzonego obrazu. Tylko młodzi artyści dostają ataku szatu, kiedy im się coś wyrzuca z dzieła, są przekonani, że zostali ugodzeni w samo serce. W ciągu roku lub dwóch film może oblecieć świat, tworzyć szkoły, naśladownictwa, styl, dać propagandę najwyższego rzędu. Czy może być piękniejsza propaganda niż ta, która wzbogaca i upiększa życie obcych ludzi opowiadaniem o życiu swego kraju? Życie w obrazach włoskich jest smutne, polska młoda generacja może w nich zobaczyć, jak wyglądało nasze życie przed wojną — ale czy tydzień przynoszący trzy, cztery duże, przeorywające człowieka filmy, jest tylko smutny? Stendhal pokochał Włochy dla ich kobiet, my — dla ich filmów.

Mówią, że *October* jest włoski. W roku 1945 nie mieliśmy ludzi, którzy mogliby zobaczyć jego włoskość i puścić w świat jako polskie widzenie ludzi po doświadczeniach okupacji. W roku 1945 nie mieliśmy ludzi, którzy mogliby komukolwiek narzucić swoje widzenie świata. Pod tym względem nic się nie zmieniło, nie ma żadnego polskiego widzenia świata, nasze obrazy w najlepszym razie przypominają. — Mówię swoim ludziom: róbcie pod Włochów, róbcie pod kogo tylko chcecie, nie będę miał o to do was pretensji. Lepiej, byście dobrze kopiowali, niż nieudolnie realizowali! Własne wasze pomysły — oto co kilka dni temu powiedział mi jeden z dyrektorów Filmu Polskiego.

Nie, wydaje mi się, że jesteśmy za biedni, by kopiować. Nie ma nic kosztowniejszego niż kopiowanie, akcent natychmiast przechodzi na dekorację, na wystawę; gdy dzieło porusza nie myśl, nie wizja, lecz coś, co trzeba naśladować, powtórzyć, trzeba to oczywiście zrobić bogaciej. Rezultat jest więc taki, że gorsze filmy są zawsze droższe. Ten sam dyrektor skarżył się właśnie na to, że filmy polskie kosztują dziesięć razy tyle, ile powinny, że nasi reżyserzy mają zachcianki, bez których myślicy reżyser doskonale by się obszedł. Nic dziwnego, myślicy reżyser, realizujący własną myśl, własną wizję — łatwo zastąpi jeden obraz drugim, kosztowny — tańszym, bez uszczerbku dla całości, ale ktoś, kto tylko kopiuje, uprze się jak osioł przy kosztownych głupstwach. Nie bardzo mu to nawet można wytłumaczyć — kompleksy go zjadają! Tego jednak nawet mój dyrektor nie rozumie, inaczej nie nakłaniałby swoich ludzi, by kopiowali. Finansowe i organizacyjne umysły nie powinny decydować o sztuce. Niestety, w instytucjach, gdzie rządy sprawuje aparat biurokratyczny, siłą rzeczy o obliczu sztuki decydują umysły typu organizacyjnego.

Cieńko mi uwierzyć, by nie stać nas było na własny styl, byśmy z sześciu obrazów zawsze mieli zwracać światu siódmy, z siedmiu książek — ósmą. Ktokolwiek był za granicą, ten wie, iż świat wie o nas tylko tyle, ile powie mu sztuka, dzisiaj — w pierwszym rzędzie to film. Tylko sztuka może nam dać twarz w świecie. Bez własnego stylu w sztuce to jakbyśmy w ogóle nie żyli, jakby nas nie było na świecie. Z filmów, które oglądałem po wojnie, tylko dwa nie przypomniały, były autentyczne. Ostatni etap Jakubowskiej i Warszawa Perskiego, Matcużyńskiego i Jankowskiego. Oba te filmy mówiły o rzeczach, którymi żyliśmy lub żyjemy. Czyli że tam, gdzie występujemy z własnymi treściami, forma przecież się zjawia.

Traktorzysta Franciszek Olejnik osobiście waży pszenicę, którą zaraz odstawi do magazynu. Olejnik — jeden z przodujących spółdzielców, otrzymał jako premię połowę wartości pieniężnej nowego motocykla.



FILMY, KTÓRE Z

To ciekawe...

PIERWSZE MIĘDZYNARODOWE PISMO FILMOWE

Georges Sadoul, wybitny historyk i krytyk francuski, oraz H. H. Lavies, dyrektor Instytutu Filmoznawstwa w Wiesbaden (Niemcy zachodnie), otrzymali od Międzynarodowego Towarzystwa Historii Kinematografii propozycję, by objęli wspólnie redakcję pierwszego wielojęzycznego czasopisma, poświęconego historii kinematografii. Fakt ten, jak i sukcesy wszelkich festiwali, daleko częstszych w filmie niż w innych dziedzinach sztuki, przypomina stale, jak bardzo międzynarodową sztuką jest kinematografia.

DVORZAK OŻYJE W FILMIE

Nowy film o Antonim Dvorzaku, nad którym rozpoczął prace Czeskosłowacki Statni Film, powiększy długą listę (czy proporcjonalnie aby nie za długą? CSF kończy właśnie film o Smetanie) biografii wielkich kompozytorów. Miłośników muzyki uciechy fakt, że scenariusz przewiduje zawarcie w filmie fragmentów Stabat Mater, Tańców słowiańskich i opery „Rusalka”.

SEKSUALNE WYCHOWANIE MŁODZIEŻY

Wychowanie seksualne młodzieży? Wielkie, jakże często zaniedbywane zagadnienie pedagogiczne! Czemu by nie skorzystać w tej materii z filmu — pomyślał reż. Leonid Moguy — z filmu, który tak często na Zachodzie spełnia funkcje akurat odwrotne, demoralizujące? Śmiało zamierzenie przyniosło w efekcie poetyczny film włoski „Jutro będzie za późno”, w którym główną rolę kreuje wielki filmowiec i nie mniej wielki aktor, Vittorio de Sica. Rezultat? Film pobili we Włoszech wszystkie rekordy frekwencji. Jak będzie w Polsce — zobaczymy za kilka tygodni.

„MUTTER“ WEIGEL NA EKRANIE

Helene Weigel, największa aktorka niemiecka, uczestniczka brechtowskiego „Berliner Ensemble”, wzbraniająca się dotąd występować w filmie, grać będzie rolę „Mutter Courage” w adaptowanym dla filmu dziele Bertolta Brechta. Nad „filmowością” tematu czuwać będzie reżyser Wolfgang Staudte, twórca „Poddanego”.

ZNOWU DEBIUT RADZIECKI

Swoisty koloryt pierwszych lat porowolucyjnych w ZSRR, lat niedostatku

i wyrzeczeń, odtwarza nowy sensacyjny film radziecki „Kordzik”, opowiadający o początkach ruchu pionierskiego i losach dzieci bezdomnych (tzw. bezprizornych). Film jest debiutem młodych twórców. Charakterystyczne, że szukając wzorów w przeszłości, twórcy w jednym nawiązali do klasycznego już filmu Ekka „Droga do życia” z roku 1931.

DLA CHORYCH NA SERCE — ZAKAZANE!

Sztandarową pozycją cyklu filmów kryminalno-gangsterskich, którym ulega coraz wyraźniej kinematografia francuska, ma być film „Czarna seria” z Erykiem von Stroheimem. Produkcji trąbiła urbi et orbi, że w ich filmie trzy wspaniałe limuzyny zostaną doszczętnie

zniszczone, a w kluczowej scenie pogoni, która ma być nakręcona na Polach Elizejskich, padnie nie mniej niż 20 trupów. Na plakatach filmu ma widnieć napis: „Dla chorych na serce — zakazane!”.

NA ŻĄDANIE WIDZÓW

Coraz częściej rozlegają się w NRD wołania o po-

godny film muzyczny. Odpowiadając na te głosy kierownictwo wytwórni „Defa” zdecydowało sfilmować operetkę Johanna Straussa „Zemsta niecierpliwca”. Film, który nosić będzie tytuł „Czarowne melodie”, reżyseruje E. W. Medler. Chce on nawiązać do tradycji innych muzycznych filmów „Defy”: „Wesołych kumoszek z Windsoru” i nie znanego u nas „Wesela Figara”.

BOHATEROWIE SĄ ZMĘCZENI

Yves Montand, postępowy aktor i piosenkarz paryski, znakomity Mario z „Ceny strachu”, będzie grał rolę główną w filmie swego imiennika, reż. Yves Campi, pt. „Bohaterowie są zmęczeni”. Film, którego plenery nakręcone będą w Afryce, opowiada o spotkaniu (w Ljherji, w



Z S R R

„Zurbinowie” — to dramat z życia radzieckich stoczniovców. Film, oparty na powieści pod tym samym tytułem, porusza codzienne sprawy obywateli Kraju Rad. Oprócz tego filmu zobaczymy kilka innych nowych pozycji kinematografii radzieckiej, m. in. film „Próba wierności” reż. Pyriewa, jeden z nielicznych nie-komediowych filmów tego reżysera, oraz film „Niebezpieczne ścieżki”.



Do serii wyświetlanych u nas filmów włoskich dojdą dwie nowe pozycje — film reż. De Santisa.



JAPONIA

Nareszcie zapoznamy się z jednym z najważniejszych wydarzeń ostatniego roku w filmie światowym — z kinematografią japońską. Na ekrany nasze wejdzie znakomity, będący bardzo typowym dla japońskiego realizmu filmowy obraz reż.

Jamamury pt. „Polawiacze krabów” oraz film „Losy kobiet”, składający się z kilku nowel utrzymanych, jak piszą krytycy zachodni, „w tonie maupassantowskim”. Film „Losy kobiet” wyświetlany był na festiwalu w Cannes w r. 1954.

ACZYM

Rok 1955 przyniesie ożywienie na naszych ekranach. Przelamany będzie, tak dotkliwie dający się odczuć w latach ubiegłych, coroczny spadek liczby premier filmowych. Z danych, jakie uzyskaliśmy od kierującej sprawami eksploatacji filmów Centrali Wynajmu Filmów, wynika, że rok bieżący stanie się rokiem prawdziwego przełomu w tej dziedzinie i że skończymy na-

reszcie z przystawiając już prawie „filmową posuchą”. Poniżej zamieszczamy fotostaty z niektórych filmów, jakie zobaczymy w roku bieżącym. Nie wyczerpują one oczywiście wszystkich interesujących pozycji, na jakie warto będzie wybrać się do kina. Obok sygnalizowanych przez nas filmów zagranicznych wejdzie w b. r. na ekrany kilka nowych filmów polskich.



WŁOCHY

Włoscy „Rzym, godz. 11”) pt. „Mąż dla Anny Zaccaro” Silvaną Pampanini w roli głównej, oraz pogodny film reż. Monicellego pt. „Chleb, miłość, fantazja”, którym występuje znana aktorka Gina Lollobrigida



ANGLIA

Filmy angielskie, które zobaczymy w tym roku, to wznowienia. Na ekrany wejdzie znany film Aleksandra Kordy — „Prywatne życie Henryka VIII”, oraz film o Rembrandcie, pt. „Dama z portretu”



FRANCJA

Kinematografię francuską reprezentować będzie kilka pozycji, wśród których na czoło wysuwa się najnowszy film René Claira pt. „Nocne piękności”. W roli głównej tego filmu występuje Gerard Philipe. Film nosi wszelkie znamiona indywidualnego, pełnego czaru stylu twórczego René Claira. Oprócz „Nocnych piękności” zobaczymy film pt. „Przeznaczenia”, złożony z trzech nowel w reżyserii Christian-Jacque’a, Dellanoya i Pagliero, oraz „Crainquebille” wg znanej powieści France’a o tym samym tytule



MEKSYK

Po „Palomie”, która spotkała się z życzliwym przyjęciem naszej publiczności, zobaczymy dwa nowe filmy meksykańskie, zrealizowane przez czołową ekipę twórców meksykańskich — reż. Fernandez i operatora Gabriela Figueroa, jednego z największych mistrzów fotografii filmowej. Tytuły tych filmów to „Maclovio” i „Rio Escondido”. W obu występuje słynna piękność meksykańska, Maria Felix.

Zobaczymy w tym roku dwa filmy amerykańskie. Będą to „Mały uciekinier”, film wyprodukowany przez niezależnych producentów ze znakomitym małym chłopcem Richie Andrusco w roli głównej, oraz postępowy film wyprodukowany nakładem związków zawodowych — „Sól Ziemi”, opowiadający historię strajku górników. Film nagrodzony został na Festiwalu w Karlowych Warach. Oba wymienione filmy reprezentują antymonopolistyczny, postępowy nurt kinematografii amerykańskiej



USA

sensacyjnych okolicznościach dwóch asów lotnictwa myśliwskiego, weteranów minionej wojny: Francuza i Niemca. Wplatanie w historię przemysłu diamentów, występując przeciw ciemnym przestępczym siłom, obaj ex-lotnicy stwierdzają wspólność swego losu i dążeń. Po latach wojny i wyrzeczonych chęci obaj tego samego: pokoju i prostego, ludzkiego szczęścia. W roli lotnika nie-

mieckiego wystąpi austriacki aktor-antyfascysta Harald Maresch, w głównej roli kobiecej — piękność meksykańska, Maria Felix.

OLIVIER POWRACA DO SZEKSPIRA

Laurence Olivier to, wiadomo, niezapomniany „Hamlet”, a także „Henryk V” (to drugie, a chronologicznie pierwsze a

szekspirowskich dzieł Oliviera, jest dotąd prawie nieznane w Polsce, gdyż przed paru laty krążyła po nielicznych ekranach jedna jedyna jego kopia; w tym roku owo niedopatrzenie będzie usunięte). Po szekspirowskich sukcesach Olivier zrealizował ludowy epos XVII-wieczny, „Operę żebracza” (także zobaczymy ją w b. r.), ale krytyka anglosaska przyjęła ją raczej pow-

ściągliwie. Toteż Olivier powrócił do swych pierwszych miłości: nakręca „Ryszarda III”, którego jest scenarzystą... wespół z Szekspirem. Do atelier, w którym odbywają się zdjęcia, nie ma przystępu żaden przedstawiciel prasy, wiadomo jedynie, że Olivier, oczywiście kreując główną rolę, gra z długim, doleponym nosem, który zmienia go do niepoznaki.

ŚLADAMI SUKCESU Z LAT DWUDZIESTYCH

Za czasów filmu nieme- go, w początku lat dwudziestych, kiedy kinematografia szwedzka słuszenie uważała się za pierwszą na świecie, reż. Mauritz Stiller zrealizował film „Skarb pana Arne”, który po dziś dzień zalicza się do arcydzieł światowej kinematografii. Sukces ten zapragnął powtórzyć obec-

nie inny przedstawiciel tego złotego okresu filmu szwedzkiego, aktor i reżyser Gustav Molander. Nowy „Skarb pana Arne” nakręcony został metodą barwną Gevacolor. Jest to wysnuta z „Zimowej bałady” Selmy Lagerlöf XVII-wieczna opowieść o spisku przeciw królowi Janowi III. Główną rolę kobiecą kreuje najgłośniejsza obecnie aktorka szwedzka, Ulla Jacobsson.

STARY CZŁOWIEK I MORZE (4)

ERNEST HEMINGWAY

Przełożył: BRONISŁAW ZIELIŃSKI

Rys.: TOMASZ GLEB

Przez długi czas potem wszyscy nazywali go Czempionem, a wiosną nastąpiło spotkanie rewanżowe. Zakłady były jednak niewysokie, on zaś wygrał z zupełną łatwością, gdyż w pierwszej próbie złamał pewność siebie Murzyna z Cienfuegos. Potem miał jeszcze kilka spotkań, a później nie było już ich więcej. Doszedł do wniosku, że może pokonać każdego, jeżeli dostatecznie się uprze, i uznał, że szkodzi to jego prawej ręce przy polowach. Kilkakrotnie przeprowadzał ćwiczebne próby lewą. Ale lewa ręka była zawsze zdraczkinią, nie chciała robić tego, czego od niej żądał, więc jej nie ufał.

„Teraz słońce dobrze ją wypieczę — pomyślał. — Nie powinna już mi się kurczyć, chyba że nocą zbyt zżębnie. Ciekawy jestem, co też ta noc przyniesie“.

W górze przeleciał samolot zdążający do Miami, i stary obserwował, jak jego cień płoszy ławice latających ryb.

— Skoro tu jest tyle tych ryb, powinny być i delfiny — powiedział — i odchyliwszy się w tył pociągnął linę, by się przekonać, czy można jej wybrać choć trochę. Nie zdołał jednak tego uczynić, a linka, drżąc i przyskakując kropelkami wody, zatrzymała się w punkcie naprężenia, który poprzedzał pęknięcie. Łódź zwolna płynęła dalej, stary zaś śledził samolot, póki ów nie zniknął mu z oczu.

„Musi być bardzo dziwne w samolocie — pomyślał. — Ciekawe, jak też wygląda morze z takiej wysokości? Powinni dobrze widzieć ryby, jeżeli nie leca za wysoko. Chciałbym lecieć bardzo wolno dwieście sążni nad wodą i oglądać ryby z góry. Na kutrach żółtawych właziłem na sailing masztu i nawet z takiej wysokości wiele widziałem. Delfiny wydają się stamtąd bardziej zielone, i można dojrzeć ich pasy i fioletowe cętki, i całą ławicę, jak płyną. Dlaczego wszystkie szybkie ryby z ciemnego nurtu mają fioletowe grzbiety, a zwykłe i fioletowe pasy lub cętki? Naturalnie, delfin wydaje się zielony, bo w rzeczywistości jest złoty. Ale kiedy wytywa na żer, i jest naprawdę głodny, pokazują mu się na bokach fioletowe pasy, takie jak u marlina. Czyżby to gniew je wywoływał, czy może zwiększona szybkość?“

Tuż przed zapadnięciem zmroku, kiedy mijali ogromną wyspę wodorostów sargassowych, która wzdymała się i kołysała na lekkich falach, jak gdyby ocean kochał się z kimś pod żółtą kołdrą — małą linę pochwycił delfin. Stary ujrzał go po raz pierwszy, kiedy delfin wyskoczył w górę, prawdziwie złoty w ostatnich promieniach słońca, wyginający się i dziko roztrzepotany w powietrzu. Wyskakiwał ciągle od nowa w owej akrobacji przestachu, a stary przedostał się na rufę, kucnął i przytrzymał duży linę prawą ręką i dłonią, lewą jął ciągnąć delfina, za każdym razem nadeptując wybrany kawałek linki bosą lewą stopą. Gdy ryba znalazła się przy rufie nurkując i miotając się rozpaczliwie z boku na bok, stary wychylił się i podniósł ją, złocistą i połyskliwą, znaczoną fioletowymi cętkami. Szczęki jej zwierały się na haku konwulsyjnymi, szybkimi kłapinięciami, łomotała o dno łodzi swym długim, płaskim ciałem, swoim ogonem i łbem, póki nie uderzył jej pałką po tej lśniącej, złocistej głowie, a wtedy zadrżała i legła bez ruchu.

Stary zdjął ją z haka, założył nań nową sardynkę i rzucił przynętę za burtę. Potem powoli wrócił na dziób. Obmył lewą rękę i wytarł ją o spodnie. Następnie przełożył ciężką linę z prawej ręki do lewej i umył prawą dłoń obserwując pogrążanie się słońca w morzu oraz kąt nachylenia dużej linki.

— Nie się u niego nie zmienia — powiedział. Ale śledząc ruch wody przepływającej po dloni, zauważył, że jest wyraźnie wolniejszy.

— Przytrzęcę oba wiosła u rufy, a to go w nocy zmusi do zwolnienia — powiedział. — Jest gotów przetrzymać noc, ale i ja także.

„Lepiej byłoby wypatroszyć trochę delfina później, żeby zatrzymać krew w mięsie — pomyślał. — Mogę to zrobić potem, a jednocześnie przywiązać wiosła, aby wytworzyć opór. Powinienem teraz zostawić marlina w spokoju i nie przeszkadzać mu, zbytnio o zachodzie. Zachód słońca to trudna pora dla wszystkich ryb.“

Osuszył rękę w powietrzu, po czym chwycił nią linę, odprężył się jak mógł i pozwolił pociągnąć się w przód do samych desek dziobu, tak że łódź przejęła teraz napięcie w równie lub nawet większej mierze niż on.

„Uczę się, jak to robić — pomyślał. — W każdym razie tę część roboty. Poza tym trzeba pamiętać, że marlin nic nie jadł odkąd wziął przynętę, a jest ogromny i trzeba mu dużo żarcia. Ja zjadłem całego bonito. Jutro zjem delfina“ — (nazywał go dorado). — Może powinienem zjeść trochę, kiedy go oczyszczę. Trudniej go będzie jeść niż bonito. No, ale też nic nie jest łatwe.

— Jak się tam czujesz, rybo? — zapytał głośno. — Bo ja dobrze, a z moją lewą ręką jest już lepiej, i mam pożywienie na noc i na dzień. Ciągnij łódź, rybo.

Prawdę mówiąc nie czuł się dobrze, gdyż ból od linki uciskającej mu plecy nieomal przekroczył już bolesność i przeszedł w tępe uczucie, które wydawało się staremu podejrzanemu. „Ale miewałem już gorsze rzeczy — pomyślał. — Rękę mam tylko trochę skaleczoną, a drugą puścił kurcz. Nogi są w porządku. Prócz tego jestem nad nim gorą, jeżeli idzie o wyżywienie“.

Było teraz ciemno, gdyż we wrześniu zmrok szybko zapada po zachodzie słońca. Stary leżał wsparty o podniszczone deski dziobu i odpoczywał jak mógł. Ukazały się pierwsze gwiazdy. Nie znał nazwy „Rigel“, lecz dojrzał tę gwiazdę i wiedział, że niebawem pojawią się wszystkie, i że będzie miał przy sobie swoich dalekich przyjaciół.

— Marlin jest także moim przyjacielem — powiedział na głos. — Jeszcze nie widział ani nie słyszał o takiej rybie. Mimo to muszę go zabić. Rad jestem, że nie musimy próbować zabijać gwiazd.

„Co by to było, gdyby człowiek musiał co dzień próbować zabić księżyc? Księżyc ucieka. A gdyby tak co dnia trzeba było zabijać słońce? W czepku się rozdaliśmy“ — pomyślał.

A potem żał mu się zrobiło tej wielkiej ryby, która nie miała czym się pożywić, lecz jego postanowienie, że musi ją zabić, nie osłabło ani na chwilę wśród owego żalu. „Iluż ludzi ona nakarmi! — myślał. — Tylko czy oni są warci tego, żeby ją jeść? Nie, oczywiście że nie. Sądząc po jej postępowaniu i wielkiej godności, nikt nie jest tego wart“.

„Nie rozumiem się na tych rzeczach — myślał. — Ale dobrze, że nie musimy zabijać słońca, księżyc czy gwiazd. Wystarczy, że żyjemy na morzu i zabijamy naszych prawdziwych braci“.

„Teraz muszę pomyśleć o tym hamowaniu wiosłami. Ma to swoje wady i zalety. Mogę stracić tyle linki, że i jego utracę, jeżeli zbierze się na wysilek, a opór wiosła nie ustąpi i łódź postrada całą swą lekkość. Ta lekkość wprowadzi przedłuża nasze wspólne cierpienia, ale jest także moim bezpieczeństwem, bo on ma wielką szybkość, której jeszcze dotąd nie zastosowałem. Co będzie to będzie, ale muszę wypatroszyć delfina, żeby się nie zepsuł, i zjeść trochę, by nabrać sił“.

„Odpocznę teraz jeszcze z godzinę i dopiero jak pocznę, że jestem krzepki i spokojny, przejdę na rufę, aby zabrać się do roboty i powziąć decyzję. Tymczasem będę mógł zobać, co robi i czy widać po nim jakieś zmiany. Z

tymi wiosłami to dobra sztuczka, ale już przyszła pora grać na pewniaka! Bądź co bądź, to wciąż jeszcze tęga ryba; widziałem, że hak ma w kacie pyska, a szczęki trzyma zacisnięte. Męka haka, to jeszcze nic. Męka głodu i fakt, że boryka się z czymś, czego nie pojmuje — to jest wszystko. Odpocznij teraz, stary, i pozwól mu pracować, póki nie przyjdzie twoje następne zadanie“.

Odpoczywał, jak mu się wydało, że dwie godziny. Księżyc wschodził teraz późno, nie miał więc sposobu określania pory. A i po prawdzie odpoczywał tylko względnie. Wciąż trzymał na ramionach ciężar ciągnącej ryby, tyle że uchwycił lewą ręką krawędź dziobu i przenosił na samą łódź coraz to więcej i więcej oporu, który stawiał marlinowi.

„Jakież by to było proste, gdybym mógł zamocować linę! — myślał. — Ale on mógłby ją zerwać jednym niewielkim szarpnięciem. Muszę własnym ciałem łagodzić naprężenie linki i każdej chwili być gotów oddać mu ją oburącz“.

— Aleś ty jeszcze nie spał, stary — powiedział. — Minęło już pół dnia, noc, a teraz następny dzień, jak nie zmrzyłeś oka. Musisz obmyślić jakiś sposób, żeby trochę się zdrzemnąć, o ile on będzie płynął spokojnie i równo. Jeżeli się nie prześpisz, może ci się zmacić w głowie.

„W głowie mam dostatecznie jasno — pomyślał. — Aż nadto jasno. Taka jest jasna, jak te gwiazdy, które są moimi siostrami. Mimo to muszę się przespać. Bo one śpią, śpią księżyc i słońce, i nawet ocean czasem drzemie w pewne dni, kiedy nie ma prądu i jest gładka cisza morska“.

„Pamiętaj, żeby się przespać — myślał. — Zmusz się do tego i wykombinuj jakiś prosty, a pewny sposób na linki. Teraz idź i przygotuj delfina. Zbyt ryzykowne jest uwiązywać wiosła dla oporu, jeżeli musisz iść spać“.

„Mógłbym dać radę bez spania — powiedział do siebie — ale to byłoby zanadto niebezpieczne“.

Jął pełzać na czworakach ku rufie, bacząc, aby nie szarpnąć ryby. „Może on sam też na wpół drzemie — pomyślał. — Ale ja nie chcę, żeby odpoczywał. Musi ciągnąć, póki nie zdechnie“.

Na rufie obrócił się tak, że lewa ręka przytrzymywała na barkach napiętą linę, prawą zaś dobył z pochewki nóż. Gwiazdy świeciły teraz jasno, delfina widział wyraźnie, więc wbił mu w głowę ostrze i wywłócił spod rufy. Przycisnął go stopą i rozciął szybko od odbytnicy aż po sam koniec dolnej szczęki. Następnie odłożył nóż i wypatroszył rybę prawą ręką, wybierając wnętrzności do czysta i odrywając skrzela. Poczul w dłoni ciężki, śliski żołądek i rozciął go. Wewnątrz znajdowały się dwie latające ryby. Były świeże i jędrne, więc je położył jedną obok drugiej, a skrzela i wnętrzności wyrzucił za rufę. Osunęły się w dół, pozostawiając w wodzie fosforyzujący szlak.

BALSZY CIĄG NASTAPI

FOTO

KORESPONDENCI DONOSZA

WCZASY DLA WĄTŁYCH DZIECI

Co dwa miesiące „Pałac Tatrzanski”, pięknie położony wśród gór i smrekowych lasów Bukowiny Tatrzańskiej, wypełnia się gwarem nowych gości, przyjeżdżających z całego kraju. Miesi się tu bowiem Państwowy Dom Wczasów Dziecięcych, do którego wysyłane są dzieci wzięte, wymagające wypoczynku i wzmacnienia w zdrowym klimacie górskim.

Do domów rodzinnych powracają silniejsze, zdrowsze i — co ważne — bez strachu, gdyż w Domu Wczasów Dziecięcych, pod kierunkiem fachowych sił, odbywają normalne zajęcia szkolne.

Wł. Szklarczyk, W-wa



Trzeba jeszcze niemało wysiłku, aby tę halę „w stanie surowym” przekształcić w jeden z pięknych pawilonów...

RADOM BUDUJE SZTUCZNE JEZIORO

Tablica, widoczna na zdjęciu obok, przeznaczona jest na wpisywanie nazwisk tych pracowników fabryk i różnych instytucji, którzy wyróżnili się przy budowie sztucznego jeziora w Radomiu.

Miasto to bowiem odczuwa dotkliwie brak wody. Ani przepływająca przez Radom rzeczka Mleczna, ani zespoły wodociągowe oparte na niewystarczającej wodzie w głębinie, nie mogą pokryć zapotrzebowania tego przemysłowego miasta. Toteż MRN postanowiła rozwiązać ten problem i zaprojektowała zbudowanie w Radomiu 100-hektarowego sztucznego jeziora. Ponieważ budowa tej inwestycji pochłonie duże sumy — zdecydowano najpierw wykonać duży zbiornik ziemny o powierzchni 24 ha i pojemności 400 tys. m. sześć.



Plan sztucznego jeziora budowanego w Radomiu i tablice przeznaczone na nazwiska wyróżniających się przy tej budowie.

Spółceństwo Radomia postanowiło pomóc przy budowie tego obiektu, chcąc w ten sposób uczcić 800-lecie swego miasta.

Latem i jesienią ubiegłego roku setki mieszkańców Radomia spieszyły co dzień na budowę „zlewu”, ale na tablicy nie ukazała się ani jedna nazwa przodującego zakładu, ani jedno nazwisko wyróżniającego się obywatela. A chyba takich nie brakowało!

Na wiosnę ruszy znów praca przy „zlewie” i ożywi się chyba martwa, jak dotychczas, tablica.

A. Majewska, Radom

195 JAJ ROCZNIE OD KAŻDEJ KURY



Wł. Kadowa (w środku), H. Firlej (od lewej) i A. Nowak.

czy — oto wyniki pracy fermy.

Do 1953 r. ferma w Parku była jedną z najgorzej i najmniej zamierzano ją nawet zlikwidować. Dopiero gdy kierownictwo objęła Władysława Kadowa, mając do pomocy Helenę Firlej, St. Pawłowską, Annę Grzelczyk i Annę Nowak — w ciągu dwóch lat ferma przekształciła się we wzorową.

Pracownicy fermy są ogromnie zadowolone ze swej pracy. Ich przeciętny miesięczny zarobek, zależny od wydajności i jakości pracy, wynosi 1.800 zł; oprócz tego wszystkie pracownice otrzymały nagrody pieniężne.

A. Chomicz, Wolsztyn

REKIN W ŚRÓDMIEŚCIU GDYNIA



Niezwykła zdobycz rybaków z „Kassiopei”.

Taki, rzadko spotykany, wynik osiągnęła w ub. roku wzorowa ferma drobiu PGR Parsko w woj. poznańskim, zwyciężając we wspólnym konkursie województwa zielonogórskiego.

Można go było przez kilka dni oglądać na placu Kaszubskim. Miał 6 m długości i 1000 kg wagi. Złowiła go załoga naszego trawlera „Kassiopea” na Morzu Północnym, na łowisku Wikingbank. Zapewne zabłądził tam podczas sztormu i zmęczony walką z żywiołem dał się złowić w sieci.

Ponieważ nie udało się go prawdopodobnie sprowadzić, tak jak to początkowo zamierzano, po ściągnięciu skóry mięso rekina przerobił na mączkę, poszukiwaną przez nasz przemysł.

E. Melech, Gdynia

SPROSTOWANIE

NIE PIOTROWSKI LECZ MROZOWSKI

W nr 4 naszego pisma z dnia 30.I br. ukazał się felleton Jerzego Waldorffa pt. „Zgrzyt w Szczecinie”, piętnujący postępowanie funkcjonariusza MO, st. sierż. J. Piotrowskiego. Po kilku dniach wpłynął do naszej redakcji list ob. Jerzego Piotrowskiego, w którym prosi on o sprostowanie — nie on był bowiem sprawcą opisanego zajścia.

Na naszą interwencję Komenda Główna MO wyjaśniła, iż:

W wypadku opisanym przez Jerzego Waldorffa brał udział st. sierż. Jerzy Mrozowski, który za nadużycie władzy w wspomnianej sprawie decyzją Komendanta MO woj. szczecińskiego został z dniem 12.II.55 r. dyscyplinarnie zwolniony ze służby w MO.

Należy stwierdzić, że nazwisko st. sierż. Piotrowskiego, jako sprawcy zajścia zostało mylnie podane przez Komendanta MO m. Szczecina.

Nie wiemy, jaką satysfakcję otrzymał ob. Jerzy Piotrowski od Komendanta MO m. Szczecina; redakcja natomiast najserdeczniej go przeprasza za tę — nie ze swej winy — popełnioną omyłkę.



POEMAT

Tegoroczne Międzynarodowe Targi Poznańskie, które odbędą się w okresie od 3 do 24 lipca br., zapowiadają się niezwykle imponująco. Spodziewana liczba wystawców zagranicznych będzie znacznie większa niż w latach poprzednich.

Przemysł krajowy wystawi wiele nowych towarów, które po raz pierwszy w sprzedaży znajdą się dopiero po Targach.

Prawdziwą atrakcją będzie park kiermaszowy, w którym — obok ciekawych

towarów krajowych — będzie można nabyć wiele artykułów przywiezionych przez wystawców zagranicznych.

Obywatelski Komitet XXIV MTP z przewodniczącym Prezydium MRN ob. Franciszkiem Frackowiakiem na czele — przygotowuje już miasto do godnego przyjęcia gości. A będzie ich wielu, bo przewiduje się, że tegoroczne Targi zwidzi około 1.200.000 osób.

B. Szlachauer, Poznań

NAGRODA WARTOŚCI 200 ZŁ

przypada w lutym br. Ob. Antoniemu Wojciechowskiemu z Łodzi za fotokorespondencję pt. „Niefrasobliwość czy kpiny”, opublikowaną w nr 8 „Świata” z dnia 27.II.1955 r.

Przypominamy, że w stałym konkursie na najlepszą fotokorespondencję miesiąca może wziąć udział każdy Czytelnik, który notatki swoje uzupełni zdjęciami. O formie nagrody: książki, albumy, wieczne pióra itp. decyduje autor wyróżnionej fotokorespondencji.

FOTOGRAFIA NA CODZIEŃ GRADACJA

Gradacja oznacza stopniowanie przejść od jasności światła obrazu fotograficznego do głębokiej czerni. Przejścia te mogą być łagodne, mamy wówczas szereg półtonów jasnych i ciemnych, lub też raptowne, o dużych skokach i różnicy w intensywności zaciemnienia. Kontrastowość możemy porównać do schodów, z których jedno są strome, inne zaś wiodą na to samo piętro liczącymi a niskimi stopniami. W pierwszym wypadku mamy gradację „stromą”, w drugim — „łagodną”. W wypadku pośrednim mówimy o gradacji „normalnej”.

Jeśli taśmę filmu naświetlimy odcinkami, począwszy od bardzo znikomej ilości światła aż do bardzo silnej ekspozycji, po wywołaniu zobaczymy wzrost zaciemnienia emulsji od ledwo dostrzegalnych śladów najkrótszego naświetlenia, aż do najgłębszego, zupełnie nieprzejrzystego pokrycia ciemnym strątem srebrowym. Ten wzrost zaciemnienia emulsji możemy przedstawić graficznie wykresami, na którego osi poziomej oznaczamy ilość światła, jaka padła na emulsję, na osi zaś pionowej — odpowiednie zaciemnienie.

Pewna najmniejsza ilość światła nie pozostawi na emulsji żadnych śladów działania. Dopiero w punkcie „A” zaczyna się proces zaciemnienia soli srebrowych, postępujący aż do miejsca oznaczonego literą „B” nader powoli, nieproporcjonalnie do wzrostu naświetlenia. Odcinek ten (A—B) nazywamy „progiem”, zawiera on najdelikatniejsze półtony ciemnych partii normalnie naświetlonego obrazu pozytywowego. Półtony te na powiększeniu o wyrobionych światłach szczytowych znikają, gdyż papier fotograficzny ma znacznie mniejszy zakres światła i cieni niż przezroczyści negatywy czy diapozytywy. Obraz, utworzony wskutek niedoświetlenia wyłączonego w „progu”, jest bledy, przy użyciu papierów nawet najbardziej kontrastowych daje powiększenia słabe.

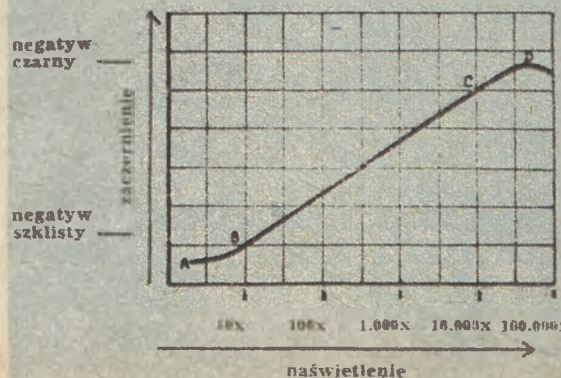
Zaletę emulsji stanowi możliwość krótki odcinek progów na krzywej zaciemnienia — im bowiem linia progów jest krótsza, tym przedsię przeskok do prostej linii, oznaczającej tworzenie się normalnie naświetlonego obrazu przy równomiernym przejściu od światła do cieni. Odcinek prostej krzywej zaciemnienia rozpoczyna się w punkcie „B” i oznacza zakres normalnego zaświecenia. Na odcinku prostej zaciemnienie emulsji wzrasta proporcjonalnie do naświetlenia, obraz zachowuje jednak przy tym wzajemny stosunek światła do cieni, rozpiętość półtonów, rośnie tylko ogólne krycie emulsji.

W punkcie „C” stanowiącym granicę prostej linii wykresu, zaczyna się strefa prześwietlenia, zaciemnienie następuje tu wolniej w stosunku do wzrostu naświetlenia i nie odbywa się na całej powierzchni emulsji, która w miejscach najjaśniejszych światła jest już maksymalnie pokryta, lecz tylko w miejscach przejrzystych, oznaczających głębokie cienie obrazu. Przy prześwietleniu emulsji szczytowe światła, dostatecznie już pokryte, pozostają bez zmiany, zaciemnienie „rozjaśnia” cienie, skracając skalę półtonów.

W punkcie „D” zaciemnienie całkowicie ustaje. Cała powierzchnia emulsji jest jednakowo „spalona”, nie ma już śladu zróżnicowania półtonów, nie ma już cieni, pozostały tylko światła, kryjące cały negatyw, czarny jak smoła.

W następnych odcinkach naszego działu powrócimy do tego tematu, stanowiącego wprawdzie dość trudny, lecz nader ważny problem fotografii.

A. Grossowi z Warszawy i Wł. Wajdzie z Byłomia — odpowiadamy listownie.



W CORTINA D'AMPEZZO — OLIMPIADA ZIMOWA

KORESPONDENCJA WŁASNA „ŚWIATA“ Z WŁOCH



Olimpiada Zimowa odbędzie się w lutym 1956 roku we włoskiej miejscowości klimatycznej — Cortina d'Ampezzo.

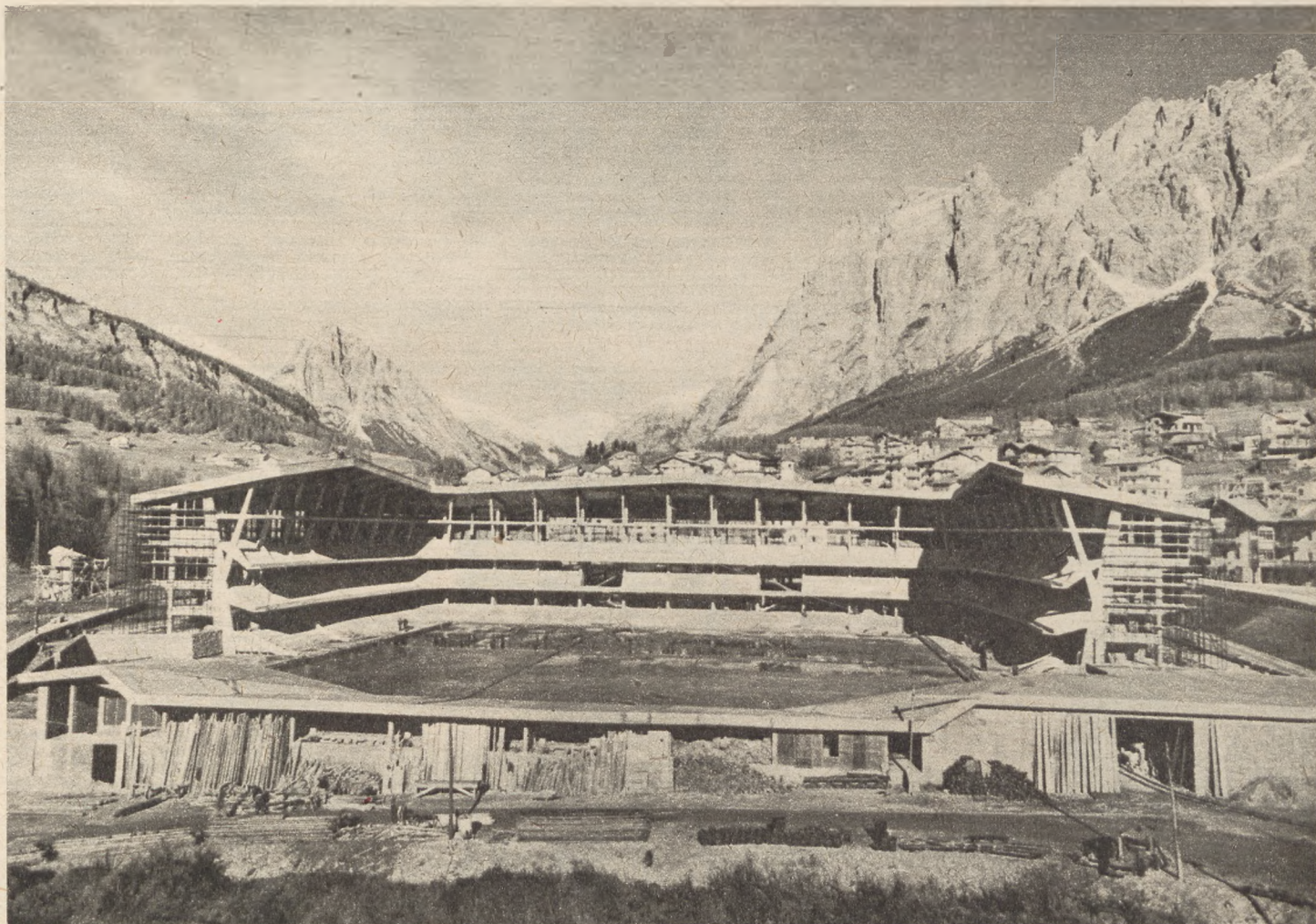
Miejscowość ta położona we włoskiej części Alp — niedaleko granicy austriackiej — zwana jest powszechnie „perłą Dolomitów“. Leży ona w prowincji Belluno, na wysokości 1.224 m n.p.m., posiada około 6.000 mieszkańców, ponad 60 większych i mniejszych hoteli, kilka wyciągów i kolejek linowych, wiele terenów do uprawiania sportów zimowych oraz doskonałe warunki śniegowe w miesiącach od listopada do kwietnia.

Na pierwszy rzut oka Cortina d'Ampezzo przypomina Zakopane. Jest cudownie położona w kotlinie między masywami gór, które mają tylko nieco łagodniejsze sylwety od naszych Tatr. Cortina d'Ampezzo ma również swoje Krupówki, które nazywają się tutaj via Roma i są efektownym bulwarem miasteczka.

Przy via Roma znajdują się wszystkie większe hotele i urzędy. Zaledwie kilkadziesiąt metrów od dworca kolejowego położony jest hotel „Grande Albergo Savoya“, gdzie rezydować będzie od grudnia br. sztab organizacyjny VII Olimpiady Zimowej; obok mieści się hotel „Cortina“, który został już zarezerwowany dla polskiej ekipy olimpijskiej.

Cortina ma przy tysiącu zalet jedną wadę: jest wyjątkowo mała. W lutym przyszłego roku gościć ma około 1.200 zawodników, blisko 500 działaczy, drugie tyle dziennikarzy, radiowców i pracowników telewizji. A gdzie mają się zmieścić w Cortina owe dziesiątki tysięcy Włochów i tysiące turystów z całego świata, pragnących zobaczyć olimpiadę? Trudny problem. Można by wprawdzie wybudować kilka wiel-

W lutym 1956 r. skocznia w Cortina d'Ampezzo ożywi się. Będzie można na niej osiągać skoki 80-metrowe.



Widok ogólny na kotlinę, w której znajduje się Cortina d'Ampezzo. Na pierwszym planie stadion olimpijski, który w tej chwili jeszcze nie wygląda imponująco, gdyż nie został dotychczas wykończony. Roboty trwają i wkrótce będą zakończone.

kich hoteli, jednakże nie miałyby one po igrzyskach żadnego dalszego zastosowania. We Włoszech nie jest bowiem znana instytucja wczasów pracowniczych.

Z innymi problemami, związanymi z organizacją zimowej olimpiady, nie ma większych kłopotów. Włoski totalizator piłkarski pokrywa wszystkie koszty, związane z budową obiektów i przygotowaniem tras. I już dzisiaj są one albo zbudowane, albo będą ukończone w najbliższych miesiącach.

Trasy zarówno biegowe jak i zjazdowe w Cortina są trudne, a wielu zagranicznych fachowców uważa je za najtrudniejsze w świecie. Francuscy i austriaccy zjazdowcy twierdzą, że nie spotkali w całej swej karierze sportowej równie ciężkiej trasy jak w Cortina.

Imponująco będzie wyglądał stadion hokejowy, na którym w dniu 26 stycznia 1956 roku otwarte będą VII Zimowe Igrzyska Olimpijskie. W obecnej chwili jest on ukończony w 70 procentach. Zbudowany w kształcie podkowy z żelbetonu o trzech piętrach, posiada dwa lodowiska oraz szereg urządzeń gospodarczych.

Stadion narciarski otrzyma w miesiącach letnich trybunę na 7.000 widzów. W najbliższych miesiącach przebudowana zostanie dotychczasowa skocznia i w przyszłym roku będzie można na niej osiągać ponad 80-metrowe skoki.

Konkurencje w jeździe szybkiej na łyżwach rozegrane będą w Misurina, odległej o 15 km od Cortina. Jest tam jezioro, na którym od kilku lat szwedzki ekspert — Goesta Nilsson — przygotowuje na zimowe miesiące fantastycznie szybki tor. Misurina leży na wysokości 1.700 metrów; związane z taką wysokością trudności w normalnym oddychaniu, mogą mieć w przyszłym roku duży wpływ na wyniki.

Podobnie jest zresztą i w Cortina. Mieszkaniec Szczecina czy Gdyni, przybywszy do Zakopanego, natychmiast chce się dostać na Kasprowy. W Cortina taki zuchwalec z nizin zapłaciłby surową karę. Nie nakładają jej co prawda władze municypalne,

lecz... klimat. Człowiek po przyjeździe do Cortina czuje się jak odurzony.

Nie ma w tym ani słowa przesady. Sportowiec musi się przyzwyczaić do klimatu w Cortina i do tego potrzebuje co najmniej 6 dni; w Misurina — dwa razy więcej czasu.

Czy w związku z tym VII Zimowe Igrzyska Olimpijskie zmienią wiele w dotychczasowym układzie sił światowego narciarstwa? W Cortina przebywało i trenowało w tegorocznym sezonie wiele zagranicznych drużyn (w tym również polska) i dlatego należy oczekiwać, że zdobyte tam doświadczenia będą odpowiednio wykorzystane.

TADEUSZ BAGIER

W lutym bieżącego roku w Cortina odbyła się wielka próba przedolimpijska, w której brała udział czołówka światowa. Na zdjęciu: Włodzimierz Kuzin.



PAMIĘTNIKI SERDECZNE

ZACZNIJMY od tego, że już na pierwszych stronicach „Pamiętników Opolan“*) Czytelnicy „Świata“ spotykają dobrych swoich znajomych: przede wszystkim autora przedmowy Edmunda Osmańczyka, dalej zaś Paulinę Nieszpór, której drukowane niegdyś w „Świecie“ Opolskie Wspominki otwierają tę książkę piękną, wszędzie serdecznie przyjmowaną, wartą przeczytania.

Edmund Osmańczyk pisze m. in. we wstępie swoim, że „niejeden z pamiętników przeczytał kilkakrotnie, po cichu sobie, głośno przyjaciół, i cieszył się, jak wszyscy przyjaciele z uznaniem wydziwiali, że te żywoty śląskie są tak mocno ciekawe i tak mocno piękne“. Stwierdza dalej, że „jest w „Pamiętnikach Opolan“ najszlachetniejsza mieszanka treści ludzkiej, osobistej i indywidualnej, z treścią społeczną, narodową i internacjonalistyczną“, że w książce tej ludzkie sprawy najbardziej intymne łączą się ze sprawami powszechnymi, że zawarta w niej prawda dziejowa „łączy się z historią wszystkich ziem Polski“, że wreszcie „Pamiętniki Opolan“ są nie tylko świadectwem o „odwiecznej polskości nadodrzańskiej ziemi, ale i stanowią również „upominek dziękczynny za wolność“.

Jest i jeszcze jedno w tej książce niezwykle: ufnosć. Wzruszająca, na ciężkich oparta doświadczeniach, wyrastająca z wielkiej potrzeby serca i zrozumienia dziejowej odmiany. Ufnosć gorąca Pauliny Wagnerowej. Ufnosć Jakuba Kani z Siołkowic, który w roku 1898 jeździł na odsłonięcie pomnika Mickiewicza do Warszawy i z Sienkiewiczem rozmawiał. Ufnosć Pauliny Nieszpór z Górek, która żałuje, że nie ma dzieci, „co by tak mogły być teraz dojrzałe, inżynierami... a i starą by się zaopiekowały“ — i zaraz dodaje pełną dumy, że i tak „w tej naszej Polsce Ludowej to i starej Nieszpórce z Górek dobrze będzie“. Ufnosć Szymona Kaszysca z Opola, którego zapiski tchną miłością do ojczystego miasta, pełne są arcyciekawych wspomnień, zapamiętanych anegdot i piosenek, a kończą słowem przyszłość. Albo i ufnosć poety Adolfa Nieszporka, którego „Nową drogę“ czyta się jednym tchem, tak bardzo jest to lektura interesująca i niezbędną dla każdego, kto poznać chce sprawy opolskie od strony czterech ścian domu, trudnych ludzkich losów, nieporozumień i tęsknot, dziejów wcale niesie-lankowych, a zawsze znamienych.

W niewielkiej notatce niesposób wymienić wszystkie pozycje tej świetnej książki. Razem tworzą one monografię serdeczną ziemi opolskiej, ziemi dawnego głodu i poniewierki, długiej niewoli i wieczystej nadziei, ziemi wreszcie młodej wolności, w której tyle jednak pozostaje do zrobienia. Problematyka tych trzymających się pamięci gawęd jest zaś rozległa i nie pomija niczego, co istotne. Przeczytajcie o Rafale Urbanie i jego „Zielonych latach“; urodził się w Winiarach pod Głogówkiem, „na samej granicy językowej, między mieszczańską niemiecką piśmienną a wiejską gwarową polszczyzną“, i to, co pisze na ten temat na kilku kartkach, przedstawia sobą wartość najcenniejszego szkicu o polskości Śląska i o społecznym polskości tej sensie.

W „Pamiętnikach Opolan“ przeszłość i terażniejszość połączone są również marzeniem powszechnym, które raz po raz odnajdujemy na stronicach książki. Tomasz Zięć z Ozimka opisuje na przykład dzieciństwo swoje, lata szkolne, okres terminowania w zakładzie stolarskim Schillera, włóczęgę po Berlinie, czas śląskiego plebiscytu, drogę do KPD. W którymś miejscu dowiadujemy się, że często marzył, że największym jego dziecięcym marzeniem „było znaleźć się w takim kraju, w którym zarówno dzieci, jak i starsi nie odczuwają nigdy głodu“.

„Marzyłem o wielu rzeczach“ — dodaje jeszcze i nie jest w tym wyznaniu osamotniony. „Moje dziecięce myśli często zatrzymywały się na tych sprawach i pytałem matki, dlaczego tak jest? — pisze Paulina Wagnerowa z Kłodzicy. — Dlaczego jedni nie robią i wszystko mają, a drudzy męczą się dla nich, głodując“. Marzenie społeczne towarzyszyło zresztą nieodmiennie poczuciu narodowemu. Patriotyczny działacz i publicysta opolski, zmarły niedawno Jan Langowski, stwierdzał w swym szkicu, że „upajaniem się ukrytą nadzieją powrotu do Macierzy lud osadzał sobie srogą rzeczywistość“, i pisał dalej, że „zalicza się do generacji, która ma szczególne prawo przypomnieć dzisiejszemu społeczeństwu polskiemu koszmar przeszłości Ziemi Odzyskanych i przeciwstawić tej przeszłości ważność artykułu 71 naszej Konstytucji“.

I wreszcie — uwaga końcowa: trudno jest dokładnie przedstawić tę książkę, gdyż składa się na nią dwadzieścia i dziewięć oddzielnych żywotów, odrębnych stylów, odmiennych kolei losu. Tyle przecież w tym wszystkim dosadności, humoru i niespodzianek, tyle prawdy i tyle spraw wzruszających, że gorąco wypada nam polecić „Pamiętniki Opolan“ jako lekturę znakomitą i pouczającą. Wypada również polecić Krakowskie Wydawnictwo Literackie — o następny nakład książki.

(a. m.)

SWIAT o tym wie!



**PRIMA APRILIS
(1942)**

Zachodnio-niemiecki tygodnik „Quick“ donosi, iż w Bonn zatwierdzona została nominacja, na mocy której były pułkownik hitlerowskiego Wehrmachtu, Rolf Burger, podniesiony został do „godności“ byłego generała. Nominacji nadano moc wsteczną. Obowiązuje ona od... 1 kwietnia 1942 roku. Powód tej pozornej bzdury: w państwie Adenauera pensje wypłacane byłym faszystowskim generałom są o wiele wyższe od pensji byłych pułkowników.

„Quick“ dodaje, iż akt nominacji podpisany został przez bońskiego ministra Schrödera, byłego... kaprała.



Oto trzy zdjęcia z popisów cyrkowych i estradowych. U góry Szwajcar Hartmann rozcina jednym uderzeniem szabli jabłko na gardle swej partnerki. Po prawej popisy Anglika Smitha na „ścianie śmierci“. Gdy dojdzie do katastrofy, pedzający motocykl zabije nie tylko jego samego, ale



Keystone

i jego partnerkę, szesma-stoletnią Kathleen Leigh. Z lewej prezentujemy naszym Czytelnikom Maurice Lucken z żoną i

osiemnastomiesięczną (!!!) córeczką. Jak zapewnia agencja Keystone, „mała Karolinka bardzo to lubi“...

ONI (WRESZCIE) UWIERZYLI

Oto są (u dołu) czterej japońscy lotnicy, którzy przez dziesięć lat nie chcieli uwierzyć, że naszym przegrał II wojnę światową.

Ich dzieje są doprawdy niezwykle. Od roku 1944 ukrywali się w dżungli

na Nowej Gwinei. Jak opowiada ich „przywódca“ — Simada, lotnicy ci zjawili się w Rabaul na pokładzie cesarskiego transportowca „Aikoko Maru“ na początku roku 1943. Wielu z grupy japońskich żołnierzy zmarło

w dżungli z chorób i wy-cieńczenia. Ci czterej żyli w dżungli między dzikimi tubylcami, przy czym w pewnych odstępach czasu zjawiali się kolejno w okolicach bardziej cywilizowanych, aby się dowiedzieć, czy aby „cesarska marynarka nie powróciła“. W roku 1945 tubylcy donieśli im, że w Japonii „był jakiś straszny wybuch“. Po blisko dziesięciu latach od otrzymania tej wieści Japończycy ci wreszcie pogodzili się z losem i zostali niedawno... wzięci do niewoli, a następnie wyekspediowani do domu.

W każdym razie ci ludzie odcięci od cywilizacji wykazali więcej trzeźwości niż poniektórzy europejscy i amerykańscy politycy, którzy — mając dostęp do prasy i radia — nadal uparczywie nie chcą wierzyć, że naszym przegrał...



Keystone

PROSZĘ, UWAGAĆ!!!

„Charlie“ — młody lis zawędrował tej zimy do kurnika w hrabstwie Yorkshire (Wielka Brytania), gdzie żyje po spółu z prawowitymi mieszkańkami tego pomieszczenia. Podobno jest tak obłaskawiony, że jada wyłącznie ziarno, pozostawione przez drób, a młode koguciki łążą mu po plecach.

Zdjęcie wprost symboliczne... Czytelnik bez trudu odnajdzie na nim Adenauera z jego lisią miną, deklamującego o przyjaźni i wspólnocie

z zachodnio-europejskimi krajami. „Niech sobie gładzą spokojnie“ — myśli sobie lis-przeche-ra. „Jak przestaną na

mnie zwracać uwagę i zapomną o mych nawykach — schrupię je, skoro tylko przyjdzie mi na to ochota...“



*) „Pamiętniki Opolan“, Wydawnictwo Literackie — Kraków, wstęp: Edmund Osmańczyk, posłowie: Ryszard Hajduk.



...Obiecanka - cackanka, a głupie-mu radość...

I — oczywiście — wszyscy już wiecie, o czym będzie mowa. Bo kto z Was chociaż raz w ciągu ostatnich tygodni nie pomyślał sobie gorzko właśnie tymi słowami.

W tym miejscu pozwolę sobie przypomnieć „Syrenkę” z 23 maja 1954 r. Tak, właśnie tam, gdzie była mowa o biletach na koncerty, o afiszach zapowiadających sprzedaż i przedsprzedaż, o owej „lipie”, w wyniku której nikt lub prawie nikt biletu na koncert w kasie kupić nie mógł. I o tej rozmowie z kierownikiem widowni, który zapewniał i obiecywał, że wszystko zmieni się w lutym 55 roku, gdy Warszawa otrzyma Filharmonię.

Czy Pan pamięta, Panie Kierowniku, co Pan mi wówczas powiedział? „Miejcie cierpliwość, już na Konkurs Chopinowski dla nikogo nie zbraknie biletów”.

Sądząc z tego, jak szybko Pan wyszedł z pokoju, gdy przyszedł zapytać, ile jest biletów w sprzedaży na recital Arturo Michelangeliego Benedetti, chyba Pan te swoje słowa sprzed roku rzeczywiście pamięta... Ponieważ jednak, jak się rzekło, wyszedł Pan, odpowiedział mi za Pana urzędniczą. Odpowiedziała, że... sto. Kpić z ludzi, to wy, panowie od sprzedawania kultury via rozdzielnik, umiecie. Oj, umiecie.

A o tym, że z tych stu po drodze z biura do kasy zrobiło się siedemdziesiąt, to już nawet nie warto wspominać. No, cóż? Zadzwoń telefon, prawda... „Będzie trudno, no, ale dla was, oczywiście, coś się zrobi”... i trzydzieści biletów z tych niedźnych stu też się gdzieś ulotniło. Ja wiem, że najzupełniej legalnie. Na rozdzielnik, na specjalną rezerwę, na... licho zresztą wie. Ja wiem tylko tyle, że ze dwie setki ludzi, którzy od świtu stali przed kasą (a sprzedaż miała się zacząć o 17), wpiśnięli się na listę obecności, potem biegli do pracy i „urywali się” po parę razy, żeby swą obecność potwierdzić, że dwie setki ludzi, którym dobra muzyka potrzebna jest jak powietrze, odeszły z zalem w sercu i sprawiedliwą złością na ustach. I to w pierwszej godzinie pierwszego dnia „przedsprzedaży”. A ilu ich było potem?

A ilu ich odchodzi codziennie od kas, które na przesłuchania sprzedają teraz tylko po dziesięć, po dwadzieścia biletów? Bo już od końca pierwszego etapu rozdzielnik tak spuchł, że z trzystu biletów, które zagwarantowano dla publiczności i które początkowo istotnie sprzedawano na każde przesłuchanie, pozostało zaledwie kilkadziesiąt. A w niedzielę, która zapoczątkowała drugi etap Konkursu, w ową słynną niedzielę, kiedy to po raz pierwszy sprzedano... 24 bilety(!), „pierwszy raz zdarzyło się, żeby pianście przerwano grę. Gdy Ritva Arjawa grała Sonatę h-moll, po pierwszej części rozległy się oklaski. Pierwszy to wypadek nieznajomości utworu”. („Życie Warszawy” nr 57 z dn. 8 marca br.). Wymowne? Nie dla wszystkich, niestety...

Rzecz jest do Was, Obywatelu Ministerstwa Kultury i Sztuki. Wymaga cięcia szybkiego, ostrego, uzdrawiającego. Bo-

wiem czas najwyższy skończyć ze schematycznymi, mechanicznymi rozdzielnikami. Czas najwyższy skończyć z odgórnym, biurokratycznym dawkowaniem sztuki „na instytucje”, w wyniku którego bilety na najciekawsze przedstawienia teatralne i najlepsze koncerty otrzymują jakże często ludzie, którzy nigdy nie staraliby się o bilety, gdyby to zależało wyłącznie od ich woli, od ich zainteresowań, od ich osobistego wysiłku.

Jest najzupełniej słuszne i pożądane, by istniał rozdzielnik gwarantujący wstęp na salę koncertową lub teatralną ludziom związanym zawodowo z danym wydarzeniem artystycznym. A więc w przypadku Konkursu Chopinowskiego — artystom muzykom, śpiewakom, muzykologom, młodzieży muzycznej, w przypadku Theatre National Populaire — aktorom, reżyserom, scenografom, teatrologom, słuchaczom szkół teatralnych i filmowych. A przecież, jak wykazało doświadczenie, i ci także musieli z wielkim trudem dobić się (często daremnie) o jeden jedyny bilet, o jedną skromną wejściówkę, podczas gdy bilety spływały na biurka i do rąk ludzi, których zainteresowania nie wspólnego z teatrem ani muzyką nie mają. Stąd niewątpliwie oklaski po pierwszej części Sonaty h-moll, stąd także czarny handel biletami zarówno na przesłuchania i recitale, jak i wówczas na przedstawienia TNP.

Trzeba więc skończyć, i to jak najszybciej, z nieuzasadnionym uprzywilejowaniem pewnych osób i pewnych instytucji i nie grać dłużej z cierpliwością ludzką, zapowiadając jako otwarte i dostępne dla szerokiej publiczności wielkie imprezy artystyczne, w rzeczywistości całkowicie lub prawie całkowicie zamknięte.

Od i do Czytelników

DYSKUSJA TRWA

„Zaczepiłem obcą kobietę na ulicy. Ubrana sztywnie. Szary płaszcz. Nie wiem, co miała na głowie. Było to coś eleganckiego, pewnie z Galluxu, ale nie zdążyłem dokładnie zaobserwować, bo zajęta mnie jej podłużna podniszczona wyraźnie, choć młoda twarz rozegzaltowane zle oczy i jej czyn...”

Błła małe, pięcioletnie dziecko. Nie pasuje tu przymiotnik „zwierzęce bicie”, bo zwierzęta zabijają, więc żyję jeszcze, i teraz już za pośrednictwem „Świata” (bo tak szybko pani odeszła, ciągnąc za sobą skatowane małenstwo...) pragnę jeszcze kilka słów pani postępkowi poświęcić.

Drogle ubranko dziecka i pani „galluxowy” strój oraz wyraźna pretensjonalność w ruchach znamionują pewne ambicje, nurtujące w pani. Zajmuje pani pewnie jakąś pozycję społeczną, zależy pani pewnie na zdaniu znajomych, sąsiadek, czy towarzyszy w pracy...

Myszę, że ten stosunkowo drogi, wyróżniający pani dziecko strój jest wszystkim, na co pania wobec swojego dziecka stać. Sądzę, że jest pani przedstawicielką tej klasy ludzi, którzy bardzo, ale to bardzo powierzchownie zetknęli się z naszą cywilizacją, a jeszcze bardziej powierzchownie z tym, co się ogólnie mianem kultury określa.

Nie dla dziecka kupiła pani ten drogi serdak, tę puszystą czapkę i te wspaniałe „zakopanki”, ale dla sąsiadek i koleżanek. Uduje pani przed nimi swoją miłość do dziecka. Walczy pani pewnie z furją o ukaranie nauczycielki, która skrzywdziła pani dziecko „niesprawiedliwą” notą, albo — o zgrom — krzykiem „z jakimi klępem. Tak!

Interwjuje pani przez Związki Zawodowe, Ligę Kobiet, Partię... — Pisze pani do „Fali 49”. Tak, tak, — nie pozwoli pani na to, by ktoś śmiał pani dziecko skrzywdzić... Cały pani światek musi wiedzieć, że pani jest wzorową, kochającą matką, że pani kupiła serdak, czapkę, „zakopanki”...

— Proszę pani! — Nie wystarczy umieć korzystać ze zdobyczy socjalnej w Polsce Ludowej — dobrze zarabiać i z rozrzewnieniem wspominać, że za sanacji tata w cagowych portkach chodził. Nie wystarczy ubierać się w Galluxie i przed otoczeniem deklamować o naszej Konstytucji i o prawach w Niej zawartych. Trzeba dać coś społeczeństwu, trzeba tak swego syna wychować, by był zdolny do pomnożenia tych zdobyczy.

Szkola nie albo bardzo mało zgoda z pani dzieckiem wykreślać, gdy jej pani otepiałe zwierzątko pod opiekę odda i gdy pani, właśnie pani swoją pretensjonalnością i malikontentem będzie codziennie obniżać autorytet tej szkoły, nauczyciela, naszego Państwa Ludowego i tej otoczenia — wobec obcych — wychwalanej Konstytucji. Syn będzie zły i fałszywy, gdy pani wpływ na niego będzie dwulicowy.

Pani przykład, pani życie codzienne — kształtują zrzęby struktury moralnej dziecka, bo angażuje pani całkowicie najważniejszy czynnik wychowania — uczucie. Można ukształtować w dziecku umiłowanie piękna, prawdy i sprawiedliwości, można wychować je na wspaniałego człowieka, ale by tego dokonać — trzeba samemu być człowiekiem. Widzi pani — to nasze przykre spotkanie miało miejsce właśnie w tym dniu, w którym ob. Ryszard Mielczarek z Kielec zawołał ze szpalt „Świata”: „Nie dopuścić do zasilania obecnej bandy chuligańskiej nowym narybkiem”, przy czym za staw, z którego ten obiecujący narybek pochodzi — uważa szkołę podstawową.

Na pani przykładzie chciałem zwrócić uwagę na pomniejszą, ale bardzo szkodliwą, cuchnącą bajorka, z których ten narybek wypelza, choć na czworakach jeszcze...

...A może pani jest całkiem przyzwolłą kobietą? — Może ten mało chwalebny pani popis na Krupówkach był doprawdy wyjątkowy, spowodowany czymś bardzo niezwykłym? — No cóż — każdy człowiek może zbłądzić... W tym wypadku przepraszam. Nie do pani kieruję te słowa, ale do typu rodziców, który mi pani swoim czynem przypomni.

Są tacy rodzice — proszę pani — są... Jestem nauczycielem, poczyniłem w swojej długiej praktyce wiele spostrzeżeń...

Jasne jest, że tymi do pani skierowanymi słowami nie rozgrzeszam szkoły podstawowej. Mimo poczucia solidarności koleżeńskiej potępiam takiego kierownika i nauczyciela, których nie stać na zdecydowaną, konsekwentną walkę z objawami chuligaństwa wśród powierzonych im gromady waszych pociech. Pisząc to, mruczę pod nosem od chuliganów zasłyszany epitet. Przeznaczony on jest dla tego rodzaju pedagogów. Wybrałem — naturalnie — ten najlagodniejszy, bo jakże tak od razu, z całym repertuarem...

Pewnie! Należy się i szkole. Bo co tu sądzić o Organizacji Harcerskiej w tych kieleckich szkołach? Co myśleć o pracy przewodnika O.H.? Kieleckie chłopczyśka organizują mozołnie rzeczpospolitą żebracką, tak jak to widzieli w kinie (film dla młodzieży do lat 18 zakazany, ale zarząd kina tak jest wpatrzony w realizację planu, że nie widzi przemijających się mikrusów), a tymczasem najlepsi uczniowie szkół podstawowych tego miasta — harcerze — zajęci są pewnie montowaniem wystawy pt. „Wspaniałe osiągnięcia naszej szkoły na przestrzeni 10-lecia”...

Jest taka książeczka — „Timur i jego drużyna”... Dla harcerzy dozwolona... Po jej przeczytaniu dojrzeli by może kolegów-żebraków pod kinem...

A co, proszę pani, sądzić o kieleckiej braci robotniczej, o inteligencji pracującej, ludziach dojrzalszych, uświadomionych? Co by się stało, gdyby taki krzepki murarz czy ślusarz capnął taką pchłą kinową energicznie za kołnierz i zaprowadził np. na najbliższy posterunek MO? Nie chce sobie psuć przyjemnego wieczoru. Boi się, bo może ojcę tego chuligana to jakaś figura? Może zaszkoć?

Tak, tak — opinia o człowieku rodzi się niekiedy w miejscu całkiem nieodpowiednim, a ojcami jej są często ludzie najmniej do pełnienia tej funkcji nie nadający... Nie tylko wśród intodzieńcy spotykamy chuliganów — proszę pani... W tych cuchnących bajorkach kryją się często grube ryby, bardzo niemiłe i bardzo płodne...

HENRYK ŁASZEK, Zakopane
Wydział Oświaty

ROZRYWKI UMYSŁOWE

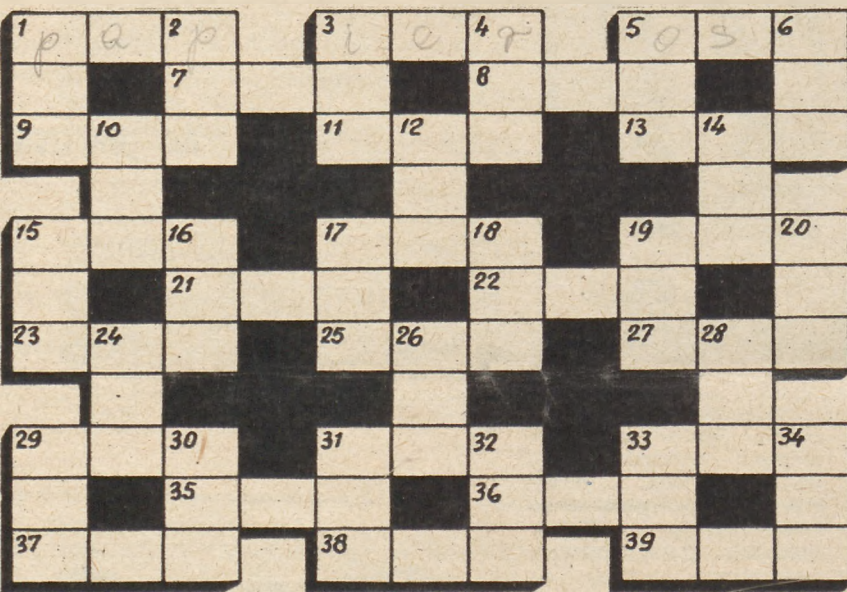
KRZYŻOWKA SYLABOWA

POZIOMO: 1) Produkt przemysłu tytoniowego, 3) Imię żeńskie, 5) Komediant, 7) Rubaszna postać z trylogii Sienkiewicza, 8) Narzędzie do okopywania roślin, 9) Kraj w Azji środkowej, 11) Większy utwór muzyczny o uroczystym nastroju, 13) Dramat muzyczny, 15) Towarowy statek rzeczny, 17) Starodawny powóz, 19) Choroba przemiany materii, 21) Szczapa drzewa, bierwiono, 22) Stolica Chile, 23) Grządka kwiatowa, 25) Grzyb jadalny, 27) Podatek w naturze, 29) Bodziec, 31) Kolejne miejsce w spisie zwycięzców, 33) Zmiana, przekształcenie, 35) Rozsadek, prawidłowość myślenia, 36) Broń ludów pierwotnych, 37) Medale, ordery, 38) Męczarnia, 39) Odgłos chodu zegarka.

PIONOWO: 1) Przyprawa do potraw, 2) Imię żeńskie, 3) Zewnętrzny bastion fortyfikacyjny, 4) Lichy utwór literacki, 5) Napój, 6) Nalewka lecznicza na alkohol lub eterze, 10) Tkanina dekoracyjna, 12) Spis, wykaz, 14) Eksplozujący sygnał kolejowy, 15) Stolica Somali bryt., 16) Rodzaj kurtki męskiej, 17) Roślina przemysłowa, 18) Kwiat górski, 19) Aura, 20) Tytuł utworu Mickiewicza, 24) Ogledziny chorego, 26) Przyprawa do pieczywa, 28) Imię męskie, 29) Podkład, grunt, 30) Kupony, odcinki kontrolne, 31) Mieszkanie domu, 32) Imię żeńskie, 33) Wyścigi wioślarskie lub żeglarskie, 34) Popularny utwór Schumanna.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłają prawidłowe rozwiązania, rozlosowanych zostanie

10 NAGRÓD KSIĄŻKOWYCH



ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 174

Magiczny kwadrat: Baku, Amur, Kura, Ural.

Za dobre rozwiązanie zadania z nr. 174 nagrody książkowe otrzymują: J. Badura — Szopieniec, S. Bandrowicz — Maciejowa, pow. Jelenia Góra, M. Brański — Gdańsk, R. Budnik — Wrocław, A. Chowaniec — Bytom, R. Chromiński — Mrągowo, A. Derlukiewicz — Rem-

bertów, E. Dołba — Bodaczów, pow. Zamość, W. Giedryk — Białystok, E. Goździewski — Warszawa, W. Gummer — Leszno, L. Horodyski — Kramolów, pow. Prudnik, Z. Janczewski — Wolsztyn, W. Janowski — Inowrocław, S. Mróz — Jedn. wojsk. A. Muchnik — Rydułtowy, D. Niemcowa, J. Treпка — Kłobuck, W. Zbierański — Miedzeszyn.

ROZWIĄZANIE KONKURSU

PT. „10 LAT — 11 DAT”

Prawidłowe rozwiązanie brzmi:

rok 1945 — G
„ 1946 — F
„ 1947 — I
„ 1948 — A
„ 1949 — B
„ 1950 — K
„ 1951 — D
„ 1952 — H
„ 1953 — C
„ 1954 — J
„ 1955 — E

Ponad 2 tysiące trafnych odpowiedzi! Czy nie świadczy to o tym, że odbudowa naszej stolicy i wszystko co z nią związane szczerze interesuje liczne rzesze naszych Czytelników? Otrzymałbym bowiem listy nie tylko z całej Polski, ale i z ZSRR, Czechosłowacji i... Wietnamu.

Dziękujemy za liczne dowody zainteresowania i okazanej sympatii dla naszego tygodnika i podajemy listę tych, których szczęśliwy traf uczynił drogą losowania zwycięzcami konkursu:

Nagroda I — radiodbiornik — Alojzy Wypiór, Łąbiedy.

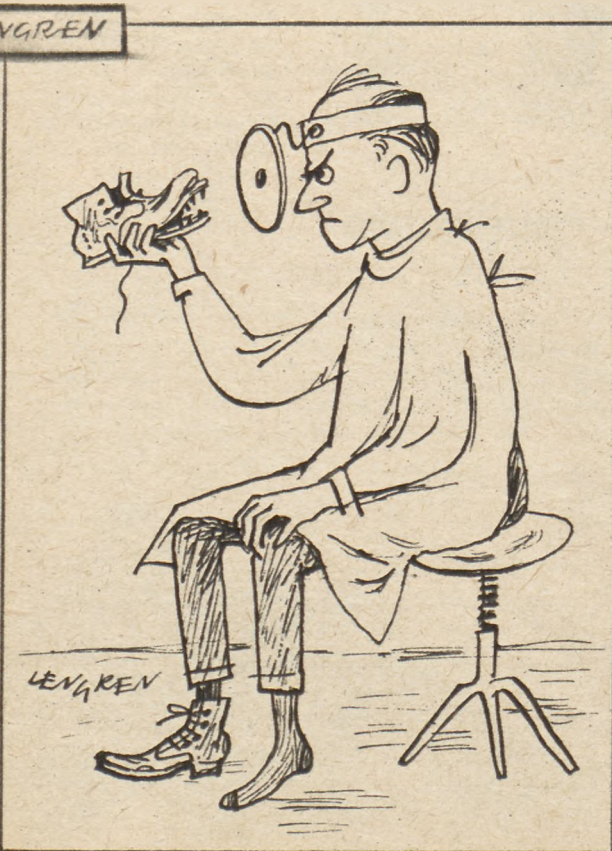
Nagroda II — rower — Roman Dobosik, Nowo Krzepice.

Nagroda III — aparat projekcyjny z filmami (nagroda zbiorowa) Drużyna Har-

cerska im. H. Sawickiej przy szkole w Górze, pow. Strzelin.

Nagroda IV — VIII — grafika: Teresa Czerny, Prudnik — Stanisław Majczak, Łódź — Hanna Borensztejn, Warszawa — Stanisław Zborowski, Wrocław — Barbara Wierchowska, Warszawa.

ALBUMY — Z. Krasoń — Łódź, T. Chafka — Warszawa, Zb. Małta — Dąbrowa, L. Chronowska — Łódź, J. Lipiecki — Hrubieszów, St. Frączak — Poznań, I. Witkowska — Warszawa, Wł. Borowiecki — Kazan, H. Swienko — Leningrad, S. Kantor — Stalinogród-Ligota, J. Borek — Toruń, J. Polanecki — Grodzisk Mazowiecki, B. Nowicka — Plesk, J. Woźnicki — Warszawa, Z. Nejman — Otwock, J. Rucki — Warszawa, W. Zukowska — Poznań, J. E. Oporek — Warszawa, Z. Dumala — wies Jędrzejek, J. Kabańska — Warszawa, T. Dąbrowski — Elk, W. Danilczuk — J. W. 2368, G. Somer — Bydgoszcz, E. Berc — Warszawa, S. Czajka — Czaplinek, A. Faferk — Kwidzyn, R. Kempf — Żyrardów, St. Walas — Gdynia, Jerzy Panek — Ostrawa (CSR), M. Chudziński — Rytm.



NOTKI PLOTKI

INTRYGUJĄCA TYPOWOŚĆ

EDGAR SUNDAY jest autorem powieści kryminalnych. Bez względu na to, co by się o nich dało powiedzieć, interesujące jest takie pytanie: z jakiego środowiska Edgar Sunday bierze prototypy swoich bohaterów, którzy niejedno mają na sumieniu?

Pytanie to nie jest bez kozery. Bowiem Edgar Sunday to pseudonim literacki nowego przewodniczącego rady ministrów Francji — Edgara Faure. A czarne charakter-y w jego książkach odznaczają się dużą sugestywnością. I są, chciałoby się rzec, typowe dla powieści kryminalnych. Wszystko jest więc w jak najlepszym porządku — a swoją drogą sprawa to intrygująca...

JAK NIE ZOSTAŁEM SPECJALISTA

PRZETŁUMACZYŁEM kiedyś dla radia trzy wiersze pewnego albańskiego poety. Było to tłumaczenie z „drugiej ręki” — poprzez przekład francuski. W kilka dni później, podczas przypadkowej rozmowy, ktoś zapytał, czy znam albański. Odpowiedziało mu żartem, że — ho! ho! — urodziłem się w Albanii. Żart wydał nieoczekiwane owoce. Ostatnio zwrócono się do mnie z bardzo poważnej instytucji, bym przybył na naradę w sprawie przekładów z literatury albańskiej. Jako specjalista w tej materii!

Wyjaśniwszy, że ani nie znam albańskiego, ani nigdy w Albanii nie byłem, pogrzebałem swoje szanse. Nie zostanę specjalistą w dziedzinie, o której nie mam pojęcia! Właściwie — szkoda. Być może nie spisywałbym się gorzej niż moi „koledzy-specjaliści” z różnych dziedzin. Należy bowiem przypuszczać, że tacy istnieją. Również „urodzeni w Albanii”.

KIEDY BREDNIA ŚWIĘCI TRIUMFY

PODOBNI jak wszędzie, sprawa kosztów produkcyjnych i nieprodukcyjnych jest niezwykle paląca w wydawnictwach książek. Oczywiście, jak ognia unika się kosztów nieprodukcyjnych. Jest to o tyle łatwe, że istnieją w tej materii odpowiednie zarządzenia czynników nadrzędnych. I tak np. maszynopis każdej książki, przesyłany przez wydawnictwo do drukarni, nie śmie zawierać więcej niż pięć poprawek na stronie maszynopisu. Począwszy bowiem od każdej szóstej poprawki, za którą uważa się nawet dopisanie przecinka, drukarnia pobiera wyższą taryfę, co obciąża wydawnictwo — kosztami nieprodukcyjnymi. Wszystkie strony pękających maszynopisów — te „z szóstym przecinkiem” — wędrują więc na maszyny do pisania. Aż do skutku. Aż do wyeliminowania kosztów nieprodukcyjnych. Bo to, że maszynistki tracą całą masę roboczogodzin przepisywując multum stron dla usunięcia „szóstego przecinka”, jest bez znaczenia. To są już koszty... produkcyjne! I fakt, że przestrzeganie zarządzenia w sprawie kosztów produkcyjnych pochłania sumę kilkanaście razy większą, niż przyszkolby wydatkować na koszty nieprodukcyjne, jest zjawiskiem normalnym. Właśnie — normalnym. Tak bowiem chce litera zarządzenia.

Może kiedyś się ona zmieni. Ale przedtem specjaliści od kosztów produkcyjnych i nieprodukcyjnych musieli by poznać „a b c” rozsądku. Może jeszcze poznają. Mimo wszystko nie należy tracić nadziei.

STARY CZŁOWIEK I MORZE

OKAZUJE się, że artykuł zamieszczony w „Nowej Kulturze” na temat reformy pisowni, wywołał już większy oddźwięk w społeczeństwie, niżby się mogła spodziewać redakcja organu ZLP. Świadkiem tu Maciej Słomczyński, który w autobusie zaobserwował przypadkowo rozmowę dwójki ludzi w tym samym mniej więcej wieku (średnim), lecz odmiennej płci. Płeć piękna — trzymająca właśnie w ręku „Świat” otwarty na kolejnym odcinku opowiadania Hemingwaya — zauważyła z wyrzutem:

— Widzisz, stary człowiek i może, a ty?...!

Czy „Nowa Kultura” — że pozwolę sobie spytać wprost — przewidziała tego rodzaju sytuację i ich konsekwencje?!

TYTUŁEM SPROSTOWANIA

NA PEWNO nie uszedł on uwadze Czytelników! Właśnie on — słoń, który tkwił tutaj (u dołu rubryki) w poprzednim numerze „Świata”, reklamując mydełko do zębów. Okazało się jednak, że jego obecność w tym właśnie miejscu miała jednocześnie inny sens. Przypominała o aktualności powiedzonka „nie bujaj słońca na nitce”. Ostrzeżenie to odnosiło się do sąsiadującej ze słoniem notki-płotki, z której wynikało, że meksykańska malarka Olga Costa (autorka obrazu „Kiosk z owocami”) ma sporo wspólnego z Polską. Tymczasem — skąd znowu! Jest ona z pochodzenia Rosjanką. W Polsce przeżyła natomiast czterdzieści lat inna malarka, Fanny Rabel, również reprezentowana na wystawie malarstwa meksykańskiego.

Powyższe stwierdzenie kładzie więc kres zabawie w bujanie słońca na nitce. Co najwyżej można by dodać, że słonie widywane są nie tylko w sklepie z porcelaną. W kiosku z owocami również. Dowód na to — w poprzednim numerze.



JAK WAM SIĘ PODOBA?

tylko
dla
Kobiet

TWOJE OCZY — „OCZKIEM W GŁOWIE”

Czy dbasz dostatecznie o oczy? Jeżeli spędzasz dzień pracy przy warsztacie tkackim, przy biurku buchalteryjnym, przy mikroskopie, przy maszynie do pisania — czy myślisz o tym, że oczom twoim należy się szczególna troskliwość, wyjątkowa opieka?

Przy wyczerpującym wzroku wysiłku musisz co trzy godziny choć na jedną minutę oderwać wzrok od roboty, przykryć oczy dłońmi i oddać się tak zwanemu „czarnym myślom”, czyli wyobrazić sobie przed oczami czarną barwę. Pamiętaj również, że co pewien czas należy podnieść oczy znad biurka, warsztatu czy maszyny, by spojrzeć przez okno, możliwie jak najdalej. To też rodzaj wypoczynku dla oczu.

W czasie 10-minutowego czy 15-minutowego odpoczynku, który w myśl naszych rad stosujesz po powrocie z pracy do domu — nie czytaj! Odpoczniesz rzetelnie tylko z zamkniętymi oczami.

Przemęczone, przekr-

wione białka, nadwrażliwość na światło, niedowidzenie, brak blasku w wyblakłych źrenicach — oto skutki nierozsądnej gospodarki wielkim skarbem człowieka — wzrokiem. Nie odwołaj chwili, w której trzeba w czasie pracy uciekać się do pomocy okularów. Taka zwłoka zwykle mści się gorzko... Nabieramy nawyku mrużenia oczu, a wraz z nim coraz wyraźniej zarysowuje się sieć drobniutkich zmarszczek pod oczami.

Czy wiecie, że bardzo często osłabienie wzroku spowodowane jest nieodpowiednim odżywianiem? „Chcesz widzieć w ciemnościach? Jedz marchew!” — wołają specjaliści z dziedziny higieny odżywiania. Marchew, mleko, śmietana, masło — obfitują w witaminę A, która jest niezbędna dla utrzymania wzroku w dobrym stanie.

W okresach egzaminów, gdy obie moje córki kują po nocach, słoram się specjalnie obficie karmić je potrawami, bogatymi w trzy najważniejsze dla wzroku witaminy A, B₂, C. Sok z marchwi, drożdże (zawierają w sobie 17 różnych witamin, w tym wszystkie odmiany witaminy B!), oraz, jeśli to możliwe — cytryny.

Każda z naszych gałek ocznych posiada 6 mięśni. Czy wiecie, że niejednego „zeza” wyleczono u dzieci odpowiednim gimnastykowaniem tych mięśni? Gimnastykę taką polecamy również wszystkim nie zezującym, którym praca zawodowa nadmiernie wyczerpuje oczy.

Oto sześć ćwiczeń dla pracujących a pracowitych kobiet. (Leniuchy

niech przynajmniej wykonują ćwiczenie nr 5).

1) Nie poruszając głową patrz raz w górę, raz w dół.

2) Zwracaj oczy możliwie jak najdalej od lewa w prawo i odwrotnie.

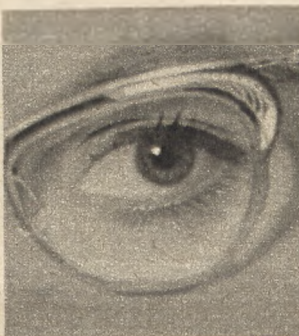
3) Popatrz lewymi kącikami oczu wysoko w sufit. To samo w prawo.

4) Tak samo, ale patrz i na podłogę. A więc kieruj oczy w górę i na dół.

5) Obracaj wolno gałkami ocznymi w prawo, potem w lewo.

6) Spójrz na koniec nosa, a potem jak najdalej przez okno. Jak najdalej.

„Kto ma czas na myślenie o takich drobiazgach?” — zapytacie może. Odpowiem: Na to nie trzeba czasu — tylko odrobiny wewnętrznej



1 łyżeczka gorącego, roztopionego smalcu, 10 kropli olejku kamforowego, 5 kropli rycyny — wymieszać na gorąco. Gdy ostygnie — dodać 1 surowe żółtko, utrzeć. Sklepywać palcem pod oczyma i w kącikach oczu.

dyscypliny. A te „drobiazgi” opłacają się sowicie.

Spróbujcie!

Annie Ziobrowska

DAWNIEJ I DZIŚ



CZEGO CHCEMY
OD PRZEMYSŁU?



Dobrego tuszu do rzes

Białe: dr Filip

Czarne: Urbaniec

1. d2--d4 Sg8--f6 2. c2--c4 e7--e6 3. Sb1--c3 Gf8--b4 4. e2--e3 c7--c5 5. Gf1--d3 0-0 6. Sg1--f3 d7--d5 7. 0-0 Sb8--c6

Wariant ten stał się ostatnio niesłychanie modny. Zwłaszcza po Turnieju Kandydatów w Szwajcarii wyparł niemalże całkowicie z praktyki turniejowej wszystkie pozostałe warianty obrony Nimzowitscha.

8. a2--a3 c5:d4

Dowód oryginalności. Prawie wyłącznie grywają tu 8... G:c3 9. b:c3 d:c4 10. G:c4 Hc7

9. e3:d4 d5:c4 10. Gd3:c4 Gb4--e7 11. Gc1--g5

To jest słabsze niż zalecane przez Packmana w „Teorii debiutów” 11. Hd3.

11... Sf6--d5

Czarne wykorzystują natychmiast niedokładność przeciwnika i upraszczają pozycję.

12. Gg5:e7 Sc6:e7 13. Hd1:d3 Sd5:c3

Czarne wpadają w przesadę w przeprowadzaniu wymian. Zamiast wzmacniać centralne piony przeciwnika — należało po prostu kończyć rozwój.

14. b2:c3 Se7--g5 15. Wf1--e1 Gc8--d7

16. Sf3--e5 Wa8--c8

Niedokładność. Lepsze było 16. Gc6 z dalszym Gd5.

17. Gc4--a2 Sg6:e5 18. We1:e5 Gd7--c6

19. Wa1--e1 Hd8--d6 20. c3--c4 Wf8--d8

21. d4--d5 e6:d5 22. c4:d5 Gc6--d7 23. h2--h4

Białe uzyskały wolnego piona, a teraz zaczynają niepokoić przeciwnika na skrzydle królewskim.

23... Wc8--c1 24. We1:c1 Hd6:e5 25. Hd3--c4!

Po tym silnym ruchu czarne nie będą w stanie przeszkodzić przeciwnikowi w zajęciu 7-mej linii ciężkimi figurami.

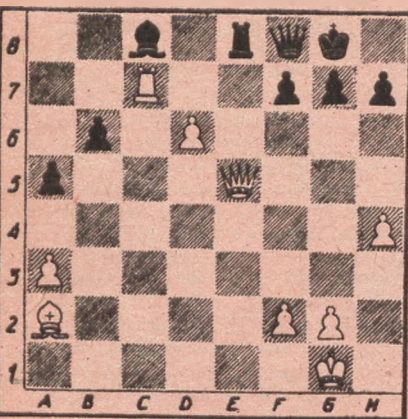
25... He5--e8 26. Hc4--b4 b7--b6 27. Wc1--e1 He8--f8 28. We1--e7 a7--c7 29. Hb4--c4

W ciągu kilku posunięć czarne znalazły się w bardzo ciężkim położeniu.

Nie widać obrony przeciw d5--d6.

29... Gd7--f5 30. He4--e5 Gf5--e6 31. We7--c7 Ge6--c8 32. d5--d6 Wd8--e8

32. d5--d6 Wd8--e8



Pozycja po 32... Wd8--e8

33. He5:e8! 1 czarne poddały się, gdyż na 33... H:e8 nastąpiłoby 34. G:f7+ H:f7 35. W:c8+ Hf8 36. d7. Na przykładzie tej partii widać, jak drobne nawet niedokładności mogą być przyczyną katastrofy.

FILATELISTYKA

SPORT W SAN MARINO

Mała republika San Marino (61 km kw.) — położona u stóp i na zboczach Monte Titano na pin-wsch. stokach Apeninów — poszczycić się może olbrzymią serią znaczków sportowych, które wydane zostały w ubiegłym roku. Pełny komplet składa się z następujących wartości: 1 lira — lilas/niebieski, 2 l. — niebiesko-fioletowy/zielony, 3 l. — czerwono-brązowy/brązowy, 4 l. — j. niebieski/c. niebieski, 5 l. — sepi/zielony, 8 l. — fioletowy/lilas, 12 l. — czerwony/czarny, 25 l. — c. zielony/niebieski, 80 l. — niebieskozielony/c. niebieski oraz 200 l. — brązowy/fioletowy.

Wszystkie znaczki zostały wykonane techniką rotograwiurów w wytwórni papierów wartościowych w Rzymie wg sztychu R. Franzoni'ego. Format znaczków: 30x40 mm. Ząbkowanie 14.

R. Z.

Fantazje konkursowe

L E C H A Z A H O R S K I E G O



— Chopin czy nie Chopin, bez biletu nie wpuszczać!...



— W ten sposób przesłuchania będą krótsze o połowę...



— Skąd ja znam tę twarz?



— Gratuluję wam, panowie — ja sam bym tak długo nie wytrzymał.

